



Fot. K. Jarochoński

DZIŚ 32 STRONY

W NUMERZE M. IN.: MARIAN BRANDYS — „Felietał nie błahostka”. JANINA BRONIEWSKA — „Ludzie wówczas bez nazwisk”. JAN BRZECZKA — „Od Szczecina do Wrocławia”. ANTONI SŁONIMSKI — „Wspomnienia warszawskie”. LUCJAN WOLANOWSKI — „Kariera winniczka”. STANISŁAW ZIELIŃSKI — „Moskwa po raz pierwszy”. KONKURS „PODARUNKI ŚWIĄTECZNE”

PRZECZYTAŁEM przemówienie prezydenta Eisenhowera, wygłoszone z trybuny ONZ, oraz artykuł w „Problemach” na temat bomby wodorowej. Prezydent Stanów Zjednoczonych przemówił językiem, który nazwał nowym. „Ten nowy język — powiedział — to język wojny atomowej”.

W rezultacie chodziło o jakąś wypowiedź związaną z przykrym dla imperialistów faktem posiadania przez Związek Radziecki zarówno bomby atomowej, jak i wodorowej. Bomba wodorowa — informują „Problemy” — posiada siłę tysiąckrotnie większą od „zwykłej” bomby atomowej. Co ludzkość uczyni z tą siłą, którą zdobyła? To pytanie nie od dziś, nie od czasu przemówienia Eisenhowera nurtuje umysły. Posiadanie monopolu atomowego przez Stany Zjednoczone wyznaczałoby jedyną perspektywę, bynajmniej niezachęcającą, niewesołą. Obalenie tego monopolu przez naukę i technikę radziecką usunęło groźbę szantażowania świata przez uzbrojonych w energię atomową monopolistów. Świat odetchnął. Eisenhower przemówił w cztery miesiące po Malenkovie. Długo trwały narady amerykańskich polityków na temat, co mają czynić wobec radzieckiego oświadczenia w sprawie bomby wodorowej.

Eisenhower nie stara się nawet podważać prawdziwości oświadczeń radzieckich. Przed kilku laty Mołotow, w bieżącym roku Malenkov mówili prawdę, gdy stwierdzali, że nie istnieje amerykański monopol w dziedzinie energii atomowej, broni atomowej i bomby wodorowej. Prezydent Stanów Zjednoczonych staje na trybunie ONZ i stwierdza: Związek Radziecki mówi prawdę! Ci, którzy wierzyli Związkowi Radzieckiemu, mają satysfakcję. Ci, którzy zawierzili propagandzie amerykańskiej, zostali sromotnie oszukani. Sam Eisenhower to powiedział. Związek Radziecki, według jego słów, jest „kolosem atomowym”, z którym musi się liczyć imperializm, z którym muszą się liczyć wrogowie pokoju.

TO zwycięstwo prawdy stanowi główny sens mowy Eisenhowera. Ta prawda jest tak silna, że nie może jej zaprzeczać nawet prezydent Stanów Zjednoczonych. Jest to prawda najbardziej oczywista, tak oczywista, że choć z ociąganiem się, z trudem, ale muszą ją potwierdzić nawet ci, którzy nie są przyjaźniłmi prawdy i którzy lata całe starali się podtrzymywać kłamstwo o rzekomej całkowitej przewadze.

Jak w każdej innej sprawie, tak i w jednej z największych spraw naszego stulecia — w dziedzinie energii atomowej — Związek Radziecki nie wprowadzał nigdy błęd ani swoich obywateli, ani całego świata. Oto wielka prawdo-

mość socjalistycznego państwa! Czym jest dla nas przemówienie Eisenhowera? Przede wszystkim zwycięstwem moralnym. Okazuje się, że dalsze prowadzenie polityki imperialistycznej z dawnym założeniem, opartym na fałszu monopolu atomowego, stało się niemożliwe. Trzeba prowadzić politykę liczącą się z faktem, że monopol ten został złamany, jeśli w ogóle kiedykolwiek istniał.

A teraz ludzie na całym świecie mogą porównywać wypowiedź Eisenhowera w jego istotnej treści z dawnymi deklaracjami polityków amerykańskich. Mogą sobie uświadomić wszystkie wypowiedzi radzieckie i potwierdzić w swych umysłach wielkie prawdy, zawarte w tych wypowiedziach. I mogą raz jeszcze potwierdzić w swych umysłach przekonanie o kłamliwości imperialistycznej propagandy i o głębi prawd, głoszonych przez obóz pokoju i socjalizmu. Fakt, iż socjalizm nie zostaje w najistotniejszych sprawach w tyle za kapitalizmem, ale że go wyprzedza i wyprzedzać będzie coraz bardziej — to podstawowa prawda naszych czasów.

Wrogowie myśli kopernikowskiej długo mówili, że Ziemia stoi, a Słońce się porusza. Aż z ociąganiem musieli przyznać słuszność zwycięskiej myśli ludzkiej. Podobnie dzieje się dziś, gdy Eisenhower przyznać musi tak wielkie sukcesy Związkowi Radzieckiemu, który przecież jeszcze nie tak dawno propaganda amerykańska, i nie tylko amerykańska, przedstawiała chciała jako kraj słaby i zacofany.

Jakie jest największe zwycięstwo prawdy? Gdy muszą ją głosić nawet wrogowie.

KOŃCZĄCY się rok każe zastanowić się nad upływającym czasem, nad przeszłością i przyszłością. Każdy z nas zastanawia się nad swoim życiem. Każdy z nas czuje wielkie szczęście — szczęście życia. Są w świecie siły skierowane przeciwko temu życiu, życiu każdego z nas, i siły popierające nasze życie, pragnące to życie ulepszyć i udoskonalić. Energia atomowa w służbie socjalizmu na nowo może uśkrzydląć ludzkość, może przyspieszyć jej wspaniały rozwój, kto wie, może nie tylko na naszym małym globie. Kto wie, czy energia atomowa nie pozwoli nam stwierdzać, jakie jest dzisiaj dalekich planet. A wszystko to stanie się możliwe, gdy nie pozwolimy naszej planecie dziurawić przy pomocy jakiegś idiotycznego serii termojądrowych reakcji.

Spokój nasz jest owocem zaufania. Ufamy sile przewodzącej światu. Ufamy mądrości, która mówi nam prawdę. Ufamy socjalizmowi, bo oznacza on zwycięstwo życia.

JAN SZELAĞ

LUDZ WÓWCZAS BEZ N

JANINA BRONIEWSKA

DALEKIE, dalekie lata. Nie można ich wszystkich namazać jakby paciorki na sznurku. W porządku ściśle chronologicznym aż po dzisiejszy dzień.

W pamięć wryły się niektóre tylko twarze, dokładne w każdym zmrúżeniu powiek, z innych pozostał zaledwie uśmiech czy pionowa zmarszczka między ściągniętymi brwiami.

Czas i procesy sądowe nie zawsze rozszyfrowały nazwiska. Ludzie ci mieli tylko imiona, możliwie najpospolitsze, choć także nie własne. Ale jedno się wiedziało od samego początku, od pierwszego „kontaktu”, że to jest właśnie „uściślony”, że to jest członek KPP. I to, co przekazuje tobie, „sympatykowi”, to przekazuje, to poleca — Partia. To nic, że jeszcze nie ogarniasz całości spraw, to nic, że jeszcze nie widzisz całego pola walki. Zalecenie wykonasz dokładnie i ściśle, bo Partia to ludzie, którzy idą w pierwszym szeregu pod policyjne paliki na Placu Bankowym w czasie demonstracji robotniczej. To ludzie, do których strzela bojówka pepesowska policyjnymi kulami na Placu Teatralnym. Partia — to ludzie oddani bez reszty polskiej klasie robotniczej, awangarda tej klasy, wszystko co jest w narodzie najbardziej ofiarne, nieulekłe.

Ileż to było temu lat? I kiedyż to był taki zwykły sobie, sierpniowy dzień, gdy po raz pierwszy przywieziono nas pod konwojem szpiclów? Z pierwszego także zjazdu „Pioniera”. Z podwarszawskiego Anina do „defy” na Plac Teatralny.

Tym razem nikt nie zdążył nam dać zalecenia. A było przecie aż nadto proste. Należało zwyczajnie niczego „nie wiedzieć”.

Na biurku komisarza Szymborskiego w szklanym wazoniku stały kolorowe, ostro zatemperowane ołówki. Zwykle sobie ołówki. Ale myśmy już wiedzieli, od tego właśnie zjazdu, od wczorajszych „kontaktów”, do czego służą komisarzowi-sadyście kolorowe ołówki, tkwiące niewinnie w szklanym wazoniku. Kładł je przecie między palce więziom „uściślonym”. Potem wypiełgowaną ręką zaciskał końce sterczących między palcami drewnienek. Sucho chrupały złamane kości...

Patrzyłam na ołówki, to na zimne, wyblakłe oczy Szymborskiego. Czyżawodowo przenikliwe, obrzydliwie wy-



Fotografia Bolesława Bieruta z akt policyjnych (rok 1927)

blakłe. I myślałam sobie o tych, co tu siedzieli. Z dowodami, niestety, a przecie miłozący w śmiertelnej męce.

— Ile zatrzymana ma lat? — odezwał się melodyjnym barytonem. Było to pytanie któregoś tam z kolei. Raczej zaskakujące w swej niewinności.

— Nie wiem! — odpowiedziałam i tym razem machinalnie.

— Co? I tego także nie wie zatrzymana? Wy zawsze „nie wiecie”. Wy nigdy nie „nie wiecie”. Stare kawały! — melodyjny baryton przerodził się nagle we wściekły bas.

— Nie wiem, jak podać. Dziś mam jeszcze dziewiętnaście. A jutro już...

Spojrzał w personalia. Mruknął:

— To przynajmniej jedyna prawda. Urodziła się piętego. A dziś 4 sierpnia. Wyprowadzić!

Wyprowadzili. Po paru godzinach wypuścili nas z „defy”. Byliśmy pierwszy raz „notowani”. Bez dowodów, to także fakt. Może i na tym cierpiała ówczesna, młodociana дума „sympatyka”?

A potem? Cóż, latało się na wszystkie

Brama wjazdowa więzienia w Rawiczu, w którym więziono wielu czołowych działaczy KPP



IE AZWISK

wiece. Gorące, młodzieżowe dysputy. Lektura marksistowska pożerana jednym tchem. Pewnie i nieraz niedostatecznie zgłębiona.

Na Lesznie na pierwszym piętrze w lokalu „niezależnych” szczelnie nabita sala. Pod ścianą „gliny” z paskami na brodach. Spod okutych, policyjnych daszków tepe, baranie oczy. Wpatrzony w „szefa” w gumowym płaszczu i meloniku. „Szef” wdiera się na estradę w imieniu „samego” starosty. Zaraz „zawiesi” więc, na jedno skinięcie oderwą się od ściany granatowe, policyjne kariatydy, pójdą w ruch pałki gumowe. Moment jest decydujący. Przed chwilą, we wrogim pomruku sali, zszedł z trybuny stary gracz, bonza związkowy. Łgał. Grzmiał. Nie na fabrykanta, nie na burżuazję. Na „komunę”, która demaskuje wszystkie siuchty sprzedanego przez bonzów związkowych strajku. Kompromitacja i fiasko pełne: sprzedany strajk jest jak na dłoni. I to właśnie mówi ostatni już mówca. Poseł jeszcze legalnej komunistycznej frakcji sejmowej. Jeszcze nietykany dla „szefa” w płaszczu gumowym i zatuszczonym meloniku. Ale przy drzwiach już się robi sztuczny zator, coś już się kłębi w kącie, zaraz wybuchnie prowokacyjna bójka. W tłumie na sali tu i tam są ci bez naz-



Fragment demonstracji pierwszomajowej w Warszawie w roku 1929

tia, awangarda klasy robotniczej w sanacyjnej Polsce. Po każdej wyrwie, po każdej „wsypie”, po każdej prowokacji — tylko jeszcze ciśnieć zwierającą szereg.

Procesy. Procesy pokazowe i procesy zwykłe. Na sali sądowej mówi młody chłopak, znany nam tylko do tej pory z imienia, mówi w swym „ostatnim słowie”, gdy wisi nad nim wyrok pięcioletni:

— Nie! Ale mamy synogarlice!

Jest nas troje. W mrocznym pokoju. Za oknem studnia warszawskiej kamienicy. Krótkie, już całkiem jasne zalecenie:

— Więc wy obejdziecie literatów. Niech złożą podpisy na wspólnym proteście — to mówi „uściślony”, to mówi Partia.

Obejdziemy.

Jedni przyjmą nas z powagą. Podpiszą zamasyście. Inni już w kłopotliwym milczeniu, targani sprzecznościami „wewnętrzny”, wyduszą wreszcie, że może jutro. Niech będzie i jutro. Będą jednak i tacy, co oświadczą z miejsca: „Szanujący się pisarz nie podpisuje nigdy cudzego tekstu”.

Cudzy tekst. Nie, to nie cudzy tekst! To tekst wspólny dla tych wszystkich, którzy byli w naszym narodzie przeciwni: Berezie, masakrom za murami więzień, strzałom do demonstracji robotniczych, wyrzucaniu przez uzbrojonych policjantów z okien strajkujących robotnic „Semperitu”.

Ten tekst dała nam Partia. Tę walkę prowadziła Partia. Partia — awangarda klasy robotniczej.

— Pojedziesz na reportaż. Pod Warszawę. Do domu wypoczynkowego. Pisz ostrożnie, żeby cenzura nie trzasnęła — to było pierwsze zalecenie dziennikarskie.

Zalecenie dziennikarskie i zalecenie partyjne. Dane „sympatykowi” przez „uściślonego” Szymka. Ale to był także drugi moment zwrotny w życiu. Po nauczycielskim „wilczym bilecie” — nowy

niejako fach. Nowa broń w walce. Wręczona jeszcze na kredyt, a jednak ufnie.

Letniskowy, podwarszawski dom. Sanatorium prowadzone przez dobrze zakonspirowany MOPR. Nie pamiętam, jaka to była ta legalna firma, może po prostu pensjonat prywatny?

Ci już są z pełnymi nazwiskami. Na urlopach „więziennych”, najczęściej bez szans powrotu na dalszą odsiadkę. Zżarci przez więzienną gruźlicę. Z odbitymi nerkami.

Mówią ze spokojem rzeczy potworne. Jakże je zasygnalizować, jakże je omówić w druku, żeby cenzura nie trzasnęła całego „Oblicza Dnia”?

— Trzymali mnie w wannie z zimną wodą. Dwadzieścia i cztery godziny. Na wannie druczany kosz...

— Ta blizna na łbie to od klucza strażnika. Żeby wybili, gdy skutego skopywali mnie po schodach do karcu.

Napisałam reportaż. Poszedł do druku. I przeszedł. Może cenzor był jeszcze pijany po nocy spędzonej w „Adrii”? Kiedy niedawno pokazali mi go w zachowanym roczniku „Oblicza Dnia” — poczułam się dziwnie. Tyle to już przecie lat władania bronią wręczoną przez Partię. Czy nauczyłam się dostatecznie nią władać? Sprawnie i celnie? Nie wiem. Nie wiem, jak nie wie tego każdy z nas, partyjnych pisarzy, wychowanych od młodości przez ludzi bez nazwisk, przez ludzi „uściślonych”, przez KPP. I zawsze nam się wydaje, że dajemy z siebie za mało, że powinno nas stać więcej. I to chyba jest słuszne. Mobilizujące.

KOMUNISTYCZNA PARTJA POLSKI

(Sekcja Międzynarodówki Komunistycznej)

Dyktatura faszystowska Piłsudskiego wprowadza hitlerowskie obozy koncentracyjne!

ROBOTNICZY I CHŁOPCI DO WALKI DO REWOLUCYJNEGO ODPORU! NIE DAJCIE SIĘ ZAPĘDZIĆ W HITLEROWSKĄ KATORGĘ! DO MASOWYCH STRAJKÓW POLITYCZNYCH, DO BOJOWYCH DEMONSTRACJI ULICZNYCH! NIECH ŻYJE STRAJK GENERALNY! POTĘŻNA BRON WALCZĄCEGO PROLETARIATU!

TOWARZYSZE ROBOTNICZY, CHŁOPCI, ŻOŁNIERZE! Dyktatura faszystowska Piłsudskiego, dokonuje nowego hitlerowskiego zamachu przeciw robotnikom i chłopom — przeciw ruchowi rewolucyjnemu! Faszystowski rząd i prezydent ogłosili dekret o hitlerowskich obowiazkach politycznych i zapowiadają rozstrzelanie tysięcy rewolucyjnych Dyktatura faszystowska, która ma dla was tylko głód i nędzę, redakcja, bezrobocie i ustawy antyrewolucyjne. Wobec tego, rewolucyjnym

Początek ulotki KPP przeciwko dekretovi o założeniu obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej

wisk. Już po latach więzienia, dziesiątki razy „notowani” w kartotekach „defy”. Czy przedrą się przez szpiclowskie czujki na schodach, czy przemkną się przez gęste sito policyjnej obstawy na chodniku przed domem?

— Wzięli, cholery, Janka! I Józka, i Stefana! — mówi ktoś już za rogiem ulicy. — Jakby ci serce wyrwali w tym strajku. Ale myśmy zostali. I z nami „Marian”. Poprowadzimy walkę dalej.

Wzięli. Trzech „uściślonych”. Bez nazwisk, a ludzi najofiarniejszych. Ale już po prostu ciśnieć zwierającą się tylko szereg. Walczących dalej i o to samo. Tamci trzej poszli na lata więzienia. Tamci bez nazwisk. Na lata karców, głodówek, masakry za więziennymi murami. Świat przysłonił im kosze blaszane i kraty. Przysłonił? Nic nie przysłonił.

Idą z więzień grypsy. Z Centralniaka, z Pawiaka, z Wronek, Rawicza czy Łucka. Idą na „wolność”, gdzie Partia walczy w podziemiu. Zdelegalizowana Par-

— Byłem komunistą. Jestem komunistą. I będę komunistą.

Sędziowski komplet dokłada jeszcze roczek. W sumie lat sześć, bez zaliczenia dwóch lat w śledztwie.

Znów lata. Strajki. Demonstracje. Rewizje.

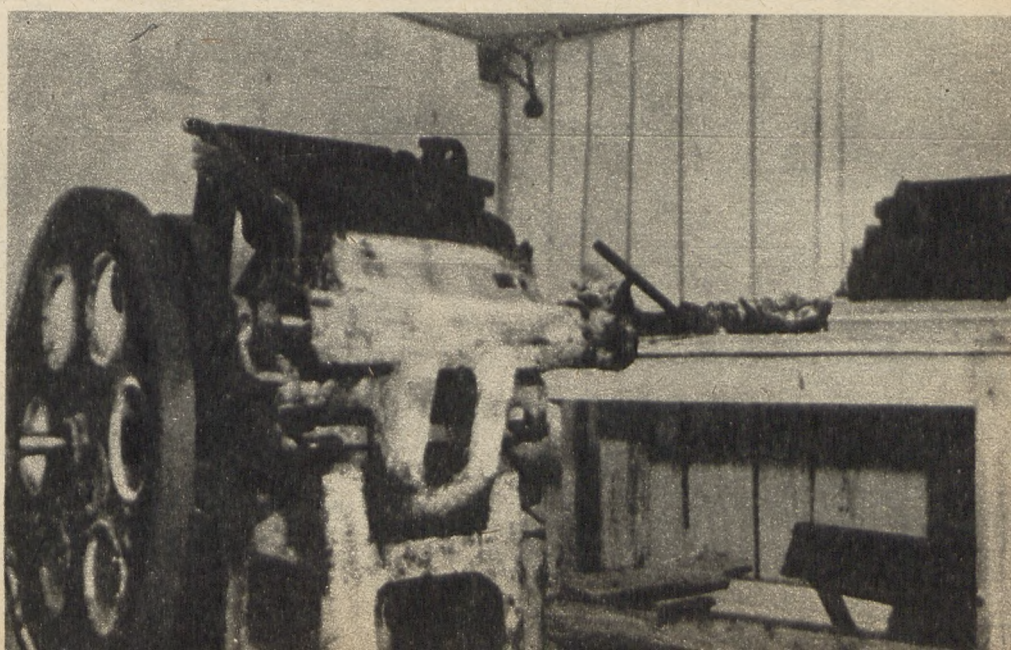
W Łucku szaleje komisarz Kajdan. Komisarz Kajdan, który wszedł do literatury. W pełnym brzmieniu i w pełnej chwale kajdanowego nazwiska w „Przedwiośniu” Zeromskiego.

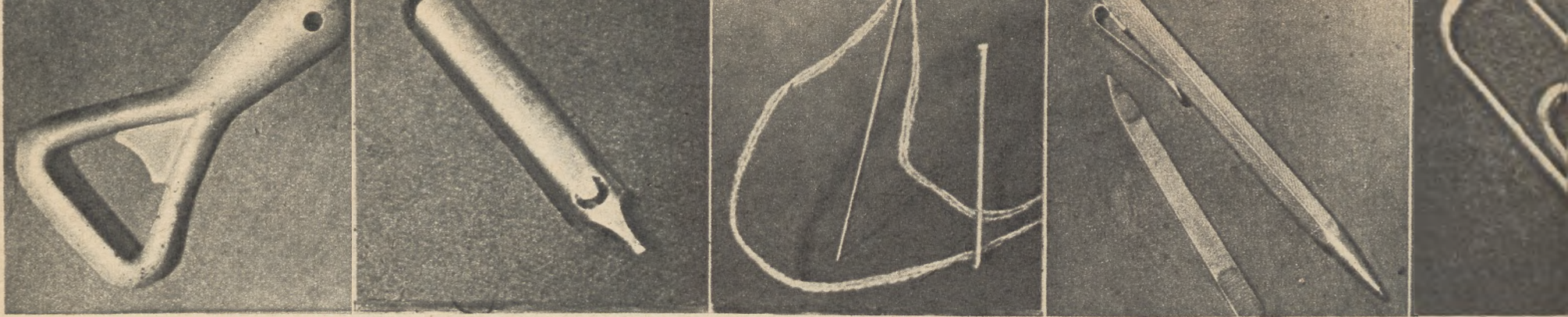
„Podpunkt” na przystanku tramwajowym. Na Marszałkowskiej. Półgłosem, w przejściu rzucony adres na najbliższej przecznicy. I hasło. Twarz znana na pamięć. I imię. Tylko imię.

Trzeba wejść pewnie do bramy. Wspiąć się po brudnych schodach oficyny. Uśmiechem drgnęły usta „Janka”, gdy szepnął to, jakże niedorzeczne, hasło:

— Czy tu się sprzedaje kanarki? Przez uchylone drzwi odzew:

Wnętrze jednej z nielegalnych drukarni KPP w Międzyzlesiu pod Warszawą





EDWARD KARŁOWICZ

...GDYBY WAS ODWIEDZIŁ MAGNES

NOCNY tramwaj chwiał się w obie strony na prostych odcinkach trasy i przeraźliwie zgrzytał na zakrętach. Ale jedyny jego pasażer, inżynier Kowalski, był tak zmęczony, że z trudem bronił się przed zaśnięciem. Zdrzemnął się nawet na chwilę, ale machinalnie ocknął się na swoim przystanku i wyskoczył, gdy już tramwaj ruszał.

Wszedł do mieszkania, zapalił światło i zaczął się pośpiesznie rozbierać. Po kwadransie spał już w najlepszej.

NOCNA WIZYTA

Trudno opisać dokładnie przebieg wydarzeń owej nocy, skoro ich bohaterem, ofiarą i zarazem jedynym świadkiem był inżynier Kowalski. Możemy zatem oprzeć się wyłącznie na jego tylko opowiadaniu.

A oto, co się zdarzyło:

Mniej więcej w godzinę po powrocie Kowalskiego rozległo się energiczne pukanie do drzwi. Inżynier wstał, klnąc na czym świat stoi, podszedł do drzwi i otworzył. W nie oświetlonej klatce schodowej zamajaczyła sylwetka o niezwyklej tuszy.

— Pozwoli pan, że się przedstawię — odezwał się tubalnym basem nieznajomy — jestem Magnes.

— Bardzo mi przyjemnie, Kowalski — odparł gospodarz i zamierzał właśnie zapytać gościa o powód wizyty o tak niezwyklej porze, kiedy ten odezwał się: — Interesuje pana cel mego przybycia? Oooooo...

Przybysz ziewnął przeraźliwie i w tym momencie wokół inżyniera zawirował rój błyszczących przedmiotów. W mieszkaniu wszystko zatrzeszczało, zakotłowało się — i w kilka sekund później Kowalski spostrzegł, że klatka schodowa jest pusta. Postał jeszcze chwilę, zatrzasnął drzwi i wrócił do łóżka.

Kowalski — jak zwykle w niedzielę — obudził się nazajutrz późno. Przetarł oczy — i dostrzegł, że w pokoju jest niezwykle widno: stora i firanka leżały na podłodze pod oknem i do pokoju wdierały się natarci-

wie promienie jesiennego słońca. Usiadł na łóżku — i zdębiał: na podłodze leżały drzwi od szafy, a w jej wnętrzu spoczywały na dole rozrzucone części odzieży. „Kradzież?” — przemknęło przez myśl inżyniera, ale jeden rzut oka wystarczył, by przekonać się, że z szafy nic nie zginęło.

NIESPODZIANKI SIĘ MNOŻĄ

Inżynier Kowalski podrapał się w głowę. Podszedł do odbiornika i przekręcił gałkę — w aparacie rozległ się jakiś chrobot i brzęk szkła. Radio nie działało. Po chwili inżynier stwierdził, że drewniany żyrandol wisi tylko na cienkiej tasemce i grozi w każdej chwili upadkiem.

Kowalski był tak oszołomiony, że przez długą chwilę stał pośrodku pokoju i nie wiedział, co począć. Potem machnął ręką i zaczął się ubierać. Ale i tu natrafił na trudności: znikły metalowe sprzączki spodni — i ta tak podstawowa część garderoby nie chciała utrzymać się na biodrach inżyniera. Sięgnął po pasek, ale i ten okazał się bezużyteczny: składał się z samego rzemienia. Klamra znikła.

Kowalski umocował na sobie spodnie sznurkiem od firanki; przy okazji stwierdził w kieszeni brak kluczy, zapalniczki, pilniczka do paznokci i bilonu.

Gdy siadł na krześle — wyładował na podłodze. Krzesło rozpadło się na części. Kowalski przyjrzał im się dokładnie i stwierdził brak śrub, którymi były przymocowane nogi. W tej chwili przypomniał sobie nocną wizytę. „Nazwam się Magnes” — mówił nieznajomy. A w mieszkaniu brak wszystkich przedmiotów żelaznych i stalowych... Tak, teraz wszystko staje się jasne.

Dalsze oględziny mieszkania doprowadziły inżyniera do wniosku, że został więźniem we własnym domu. Mosiężny zatrask w drzwiach był zamknięty, a stalowe kołko do otwierania znikło. Piec kuchenny po zniknięciu płyt i rusztów był tylko prymitywnym paleniskiem.

Kowalski jeszcze raz obszedł mieszkanie i obejrzał wszystkie kąty. Potem mruknął: — A śniadanie trzeba przecież zjeść.

ROBINSON W ŚRÓDMIEŚCIU

O odkrojeniu kromki chleba nie było mowy — nie miał noża. Inżynier nie bez trudu odłamał kilka sporych kęsów. A kielbasa — z tym poradził sobie znakomicie: z resztek krzesła rozpałił w palenisku ognisko, w którym upiekł kielbasę na drewnianym rożnie. Po posiłku pogrzebał w kieszeniach marynarki i płaszcza — i zebrał spora szczyptę tytoniu (papierońnica znaku wraz z zawartością). Nie ufając już krzesłom siadł nasz Robinson z papierosem na podłodze...

* * *

Nie bierzmy zbyt dosłownie opowiadania inżyniera Kowalskiego. Nie wnikałmy też, czy mu się to przyśniło, czy też chciał sobie zażartować. Morał opowiadania jest przecież jasny.

Doświadczenie (nie tylko inżyniera Kowalskiego) uczy, że w warunkach współczesnej cywilizacji bez żelaza i stali nie sposób się obejść. Ekonomisci nie bez racji twierdzą: produkcja żelaza i stali jest podstawowym wskaźnikiem bogactwa i siły gospodarczej kraju. Jasne jest, że niedostatek tego metalu staje się źródłem ogromnej ilości braków i wyrzeczów, sprowadza całe narody do sytuacji Robinsonów.

Można zaryzykować twierdzenie, że przed wojną Polska była swojego rodzaju pół-robinsonem. Owszem, były u nas huty, wielkie piece i marteny, ale produkcja stali w ówczesnych rozmiarach skazywała nas na robinsonowsko-kolonialną wegetację w samym sercu Europy, przekreślała możliwość osiągnięcia poważniejszej pozycji w świecie ekonomicznym.

Istnieje taki wskaźnik ekonomiczny, jak roczna produkcja stali na głowę ludności. Współczesny poziom gospodarki wymagał przed wojną i wymaga dziś, by wskaźnik ten wyrażał się liczbą nie mniejszą niż 100—120 kg. Inaczej nie można mówić poważnie o uprzemysłowieniu kraju.

Otóż przed wojną wskaźnik ten wahał się u nas od 41,5 kg (rok 1927) do... 41,2 kg (rok 1938). W latach kryzysu spadł nawet poniżej 20 kg! A we Francji wynosił on 195 kg, w Anglii 250 kg, w Czechosłowacji 102 kg.

DRUGA WARSZAWA

W jakiej mierze brak stali przed wojną był przyczyną naszej słabości ekonomicznej i militarnej — o tym można napisać tomy. Jakież procent naszych domów przypominał mieszkanie inżyniera Kowalskiego po „magnesowym” spustoszeniu!

Dlatego warto przypomnieć pewien nasz sukces sprzed paru lat, o którym zbyt mało się pisało i mówiło, a który zasługuje w pełni na to, by go postawić obok naszego najpiękniejszego sukcesu — odbudowy stolicy.

Otóż gdzieś na przełomie lat 1947—1948 przekroczyliśmy najwyższą przedwojenną produkcję stali. W trzecim roku po wojnie!

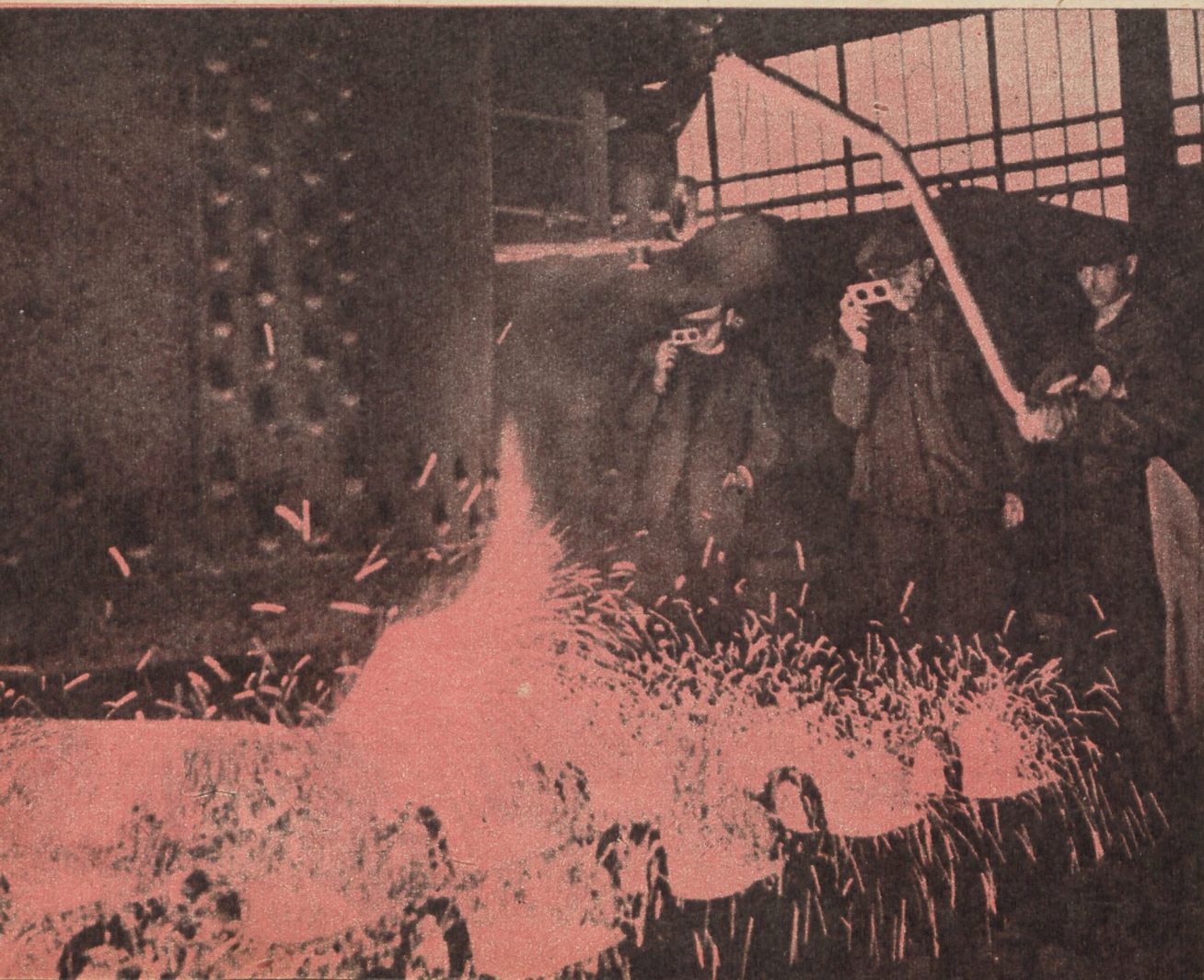
Jeśli uświadomimy sobie, ile środków już wtedy poświęciliśmy na odbudowę i rozbudowę hut, ile pochłaniały one cegły, cementu, konstrukcji metalowych — to stwierdzimy, że była to rzeczywiście druga Warszawa — oczko w głowie naszego budownictwa.

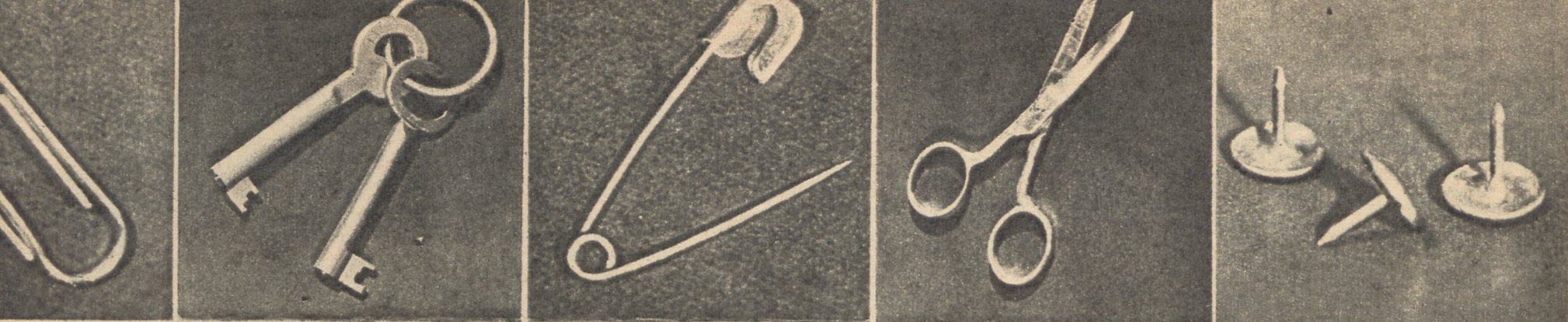
I tak jak pierwsi budowniczości nowej Warszawy rękami rozbierali gruzy, na własnych plecach nosili cegły dla przyszłych domów — tak tysiące bezimiennych bohaterów naszego hutnictwa spędzały dni i noce w zimnych, zrujnowanych halach, ze szczątków i odłamków budowały maszyny, agregaty, zespoły.

Prawda, że dalekowzroczna strategia dowództwa Armii Radzieckiej ocalała większość naszych hut przed dewastacją. Ale fakt, że w ciągu trzech niespełna lat hutnictwo nasze mogło przekroczyć najwyższe wskaźniki przedwojennej produkcji — zaliczać się będzie w historii do czołowych osiągnięć lat odbudowy.

ALFA I OMEGA

Stal i żelazo — to alfa i omega naszego budownictwa. Ta prosta prawda uchodzi często naszej uwadze. Wystarczy jednak chwila zastanowienia — i uświa-





domimy sobie nie tylko jak bardzo nam jest stał potrzebna, ale i jak wiele nam jej potrzeba.

Budujemy dom. Zwykły dom mieszkalny, w Warszawie, Gliwicach, czy Białymstoku. Zaczyna się od wykupu pod fundamenty — i na widowni pojawia się stał maszyn. Kończy się zakładaniem instalacji wodociągowej, gazowej, centralnego ogrzewania — i dom wchłania ostatnie porcje żelaza i stali. I to porcje wcale pokazywane: czy spróbujecie kiedyś zdźwignąć żelazny kaloryfer?

W roku bieżącym ludność naszego kraju otrzyma 135.000 nowych izb mieszkalnych. Tezy na II Zjazd PZPR przewidują, że w roku 1955 oddamy do użytku 162.000 izb. Jeśli by te wszystkie domy odwiedził kiedy w noc „pan Magnes” — zebrałby wiele tysięcy ton stali i żelaza.

W Tezach o samej stali pisze się niewiele. Odnaleźć ją jednak można w bardzo wielu miejscach. Na przykład traktory. W roku 1955 będziemy ich mieć tylko w rolnictwie 55.000 sztuk. A na każdy traktor trzeba co najmniej trzech ton stali i żelaza. Pomiędzy duży wzrost produkcji motocykli, maszyn rolniczych, dziesiątków różnych metalowych przedmiotów codziennego użytku. Ale nawet tak odległa dziedzińska, jak 30-procentowy wzrost produkcji konserw rybnych, wymaga istotnego zastrzyku metalu. Droga od wielkiego pieca do metalowej puszki z etykietą „Centrala Rybna” prowadzi przez długi szereg agregatów i obrabiarek.

ZA „ZACZAROWANĄ KRESKĄ”

W roku 1947, kiedyśmy rozpoczynali realizację Planu 3-letniego, Francja i Włochy przystępowały do planu Marshalla, i Francja, i Włochy, i nasz kraj —

ucierpiali poważnie od zniszczeń wojennych (co prawda w bardzo nierównym stopniu) i wybierały sobie drogę odbudowy i rozwoju. Wybraliśmy drogi różne. I dziś dwa wielkie kraje Zachodniej Europy zaczynają z wolna przypominać mieszkanie inżyniera Kowalskiego po nocnej wizycie...

Wiemy, o ile Włochy i Francja były od nas silniejsze przed wojną pod względem przemysłowym. Zarozumiałość jest rzeczą brzydką, ale słusznej dumy nie powinniśmy unikać. Jesienią roku 1953 mógł Bolesław Bierut stwierdzić: „Dziś Polska Ludowa wyprzedziła Włochy nie tylko pod względem wielkości produkcji przemysłowej na 1 mieszkańca, ale i pod względem absolutnej wielkości produkcji. W stosunku do Francji zbliżyliśmy się do poziomu jej produkcji przemysłowej na 1 mieszkańca... i niewątpliwie bardzo szybko wyprzedzimy ją pod tym względem”.

Przypomnijmy sobie pewien wskaźnik: roczną produkcję stali na jednego mieszkańca. Ten wskaźnik, który w międzywojennym dwudziestolecu nie wyszedł za „zaczarowaną kreskę” 42 kg, dziś wyraża się u nas liczbą 138 kg, a gdzieś w początkach następnej pięćdziesiątki przekroczy 200 kg. Oto stalowe skrzydła szybkości naszego rozwoju.

Czy mogłoby jakiś trzeźwy polityk burżuazyjny we Włoszech czy we Francji obiecać narodowi taki wzrost stopy życiowej w ciągu dwóch lat, jaki nastąpi u nas? Takich fantastów tam nie ma. A u nas jest to program działania, o którego realizacji nikt poważnie myślicy nie wątpi.

GDYNIA CO DWA LATA

Kiedyśmy przed 6—7 laty przystępowali do zasadniczej rozbudowy przemysłu, nie brak było wśród nas

sceptyków i niedowiarków — ludzi uczciwych, ale nie zdających sobie sprawy z możliwości naszego ustroju. Trudno ich winić — przyzwyczajeni byli do rozumowania kategoriami COP-u (osławionego Centralnego Okręgu Przemysłowego z lat trzydziestych) i Gdyni. Te dwa „asy atutowe” były szczytem, na który zdołała się wznieść sanacyjna propaganda.

Przekonała tych wątpliwych rzecz najbardziej przekonująca: fakty. Na przykład taki fakt, że tylko Warszawie przybywa co dwa lata „cała Gdynia”. Taki fakt, że nasze roczne nakłady inwestycyjne są wielokrotnie wyższe od wszystkich inwestycji w COP-ie. Taki wreszcie fakt, że roczny obrót materiałowy w Nowej Hucie (20 milionów ton węgla, rudy, koksu, złomu i śmieci) będzie znacznie większy niż łączne obroty portów Gdyni i Gdańska w roku 1938!

Jeden z przedwojennych ekonomistów twierdził, że Polska dla uzyskania właściwego poziomu uprzemysłowienia winna mieć roczną produkcję stali w wysokości 2 milionów ton. Dla ówczesnych warunków było to nieosiągalnym marzeniem, ale nawet gdyby to marzenie zostało zrealizowane — skazywałoby wciąż jeszcze nasz kraj na wegetowanie w roli pół-robinsona. W bieżącym roku wyprodukowaliśmy 3,6 miliona ton stali — i bynajmniej nas to nie zadowala. Wystawiając dziś na plan pierwszy podciągnięcie rolnictwa i przemysłu artykułów masowego spożycia — ani na chwilę nie zapomnimy o stali. Ani na chwilę nie przerwiemy prac w Nowej Hucie i dziesiątkach pomniejszych hut.

Nie będziemy więcej Robinsonami. Mimo wszelkie ułotki powieści Defoe — wierzę: Robinsonom ciężko na świecie...

NA NOWO CZYTAMY

PRAWDA o dawniejszym życiu polskim na wsi i w mieście, o społeczeństwie i prądach, które je nurtowały przed wielokrotnie, przed pół wiekiem — żywo interesuje dzisiejszego czytelnika literatury pięknej. O zjawisku tym świadczą najwymowniej ogromne nakłady pism takich autorów, jak Krasiński, Prus, Orzeszkowa, Konopnicka, Sienkiewicz.

Dzieła tych pisarzy rozchodzą się dzisiaj nie tylko szybko i w wielkich nakładach, ale docierają tam, gdzie nigdy dotąd nie miały, gdzie warunki kapitalistycznego ustroju stawiały niegdyś przed nimi barierę społecznego ucisku i programowej ciemnoty. Dopiero w Polsce Ludowej otwartą się przed nowym czytelnikiem możliwości pełnego i swobodnego korzystania z dorobku naszych wielkich twórców. Można dziś mówić niemal o ponownym odkryciu niektórych pisarzy minionej epoki, o ich ponownym odrodzeniu, choć przecież dawniejsza historia literatury zachowała ich nazwiska w pozornym blasku i cieniu.

Dotyczy to przede wszystkim Elżby Orzeszkowej. Wsteczna, reakcyjna krytyka tuszowała radykalizm niektórych jej powieści, starała się przedstawić pisarkę w zafałszowanym świetle i skrajnie ukrywała fakt, że ta błądząca na drogach porzucenia autorka często zdobywała się na myśli przenikliwe i jasne i potrafiła odważnie demaskować moralność świata kapitalistycznego, epigonów feudalizmu i zafanowanego klera.

W jednym z listów do Teodora Jeża Miłkowskiego Elżba Orzeszkowa pisała: „...aby z życia pogrążonego w sennosci, z gromady ludzkiej wygrzebać materiał odpowiedni i wykreślić święty ogień natchnienia, trzeba mieć siłę twórczą, intuicję, fantazję daleko silniejszą niż ta, której potrzebują pisarze w bogatszych i bujniejszych otoczeniach żyjących...”. Wątpliwoci te w stosunku do własnych możliwości płynęły jednak z surowych i wysokich wymagań, jakie pisarka stawiała sobie, z nienasyconego pragnienia całkowitego wypowiadania się w swych dziełach, z głębokiej potrzeby ukazania rzeczywistości w pełnym świetle. Jako przedstawicielka realizmu krytycznego w literaturze, często namiętna, bojowa i demaskatorska — nie mogła Orzeszkowa narzekać na niedostatek sił twórczych, ognia natchnienia i fantazji, by z życia pogrążonego w sennosci „wygrzebać materiał odpowiedni”. Będzie to „Pan Graba”, czy będą to „Dziurdołki” — dwie powieści z tak różnych środowisk — Orzeszkowa dała w nich przejmujący obraz stosunków społecznych i ostro napiewa panoszące się zło, którego klasowy reflow nie pozostawia cienia wątpliwości. Haniebne życie arystokratycznego Graby, potworna ciemnota zabobonnych Dziurdoł — to pełne pałki akty oskarżenia pod adresem ówczesnego społeczeństwa. Zarliwa walka o postęp czyni nam też Orzeszkową bliską i zawsze interesującą, choć nie zawsze będziemy się zgadzać z jej poglądami. Nie tedy dziwnego, że nakłady dzieł Orzeszkowej rozchodzą się dzisiaj tak szybko, że książki jej są tak pilnie czytane, że zyskują sobie coraz nowych i nowych czytelników.

To samo niemal powiedzieć można o Krasińskim, twórcy polskiej powieści. Krytyka reakcyjna skazała na zapomnienie wiele

dział z jego ogromnego dorobku pisarskiego; starano się je ukryć, gdyż ostro demaskowały kosmopolityzm i antynarodową politykę szlachty i arystokracji, która po powstaniu styczniowym jawnie już zdradzała interesy Polski i zaprzedała się za zaborcom. Ukrywano też starannie demokratyczną postawę Krasińskiego i prezentowano go tylko od tej strony, która obozowi wsteczności, konserwatyzmu i klerykalizmu była wygodna. Dziś Krasiński świeci w Polsce Ludowej swój renesans. Z jego powieści wznowiono już ponad sześćdziesiąt w nakładzie przekraczającym dwa miliony egzemplarzy, a wciąż wychodzą drugie i trzecie nakłady wielu jego utworów. Tak np. „Szalone”, jedna ze szczególnie ciekawych powieści Krasińskiego, doczekała się już trzech wydań. Akcja tej powieści rozpoczyna się przed blisko stu laty na terenie Kijowa, w okresie wzmożonych ruchów rewolucyjnych. Krasiński nie opowiada się wprawdzie za tym ruchem, stara się przedstawić dodatnio dawny sposób życia na wsi szlacheckiej, ale przecież jego żywy, wrażliwy i sprawiedliwy umysł nakazuje mu odmalowanie rewolucyjnego środowiska i jego walk w obiektywnym, realistycznym świetle. Główną bohaterką „Szalonej” jest Zonia Raskówna, studentka-sierota, bojownicza — emancypantka, a na koniec komunardka. Przedstawiając jej życie i losy miał zamiar Krasiński raczej potępić tę postać swego utworu, zwyciężyła jednak realistyczna prawda o życiu i Zonia Raskówna wyrosła na bohaterkę, którą autor, mimo wszystko, obdarza dyskretnym ciepłym uczuciem.

Tak więc, choć często nie można się pogodzić z wypowiedzianymi przez Krasińskiego poglądami, choć często wyda się on nam zbyt staroświecki, to przecież jego rzetelna wiedza o dawnych czasach, zawsze interesująca fabuła utworów, barwne opisy i wielka pisarska uczciwość sprawiają, że jest on powszechnie ceniony.

Wśród dawnych autorów, których dzieła cieszą się dzisiaj ogromnym powodzeniem, znajduje się również Michał Bałucki, zapomniany niemal jako powieściopisarz w przedwojennym dwudziestolecu. Jego „Pańskie dziady” ukazały się obecnie już w dwóch wydaniach, a namiętniejszym powodzeniem cieszy się i „Pan burmistrz z Pipidówki”. I te utwory, dzisiaj wydobywane, należały do „zapomnianych”, gdyż nie dogadzały burżuazji i arystokracji, klerowi i szlachcie. Był bowiem Bałucki nie tylko realistą-demaskatorem, ale i satyrykiem, który potrafił celnie obnażyć rzeczywistość i pokazywać ją w jaskrawym i ostrym świetle. „Pańskie dziady”, powieść — jak pisał autor — „fotografowana z natury” — świetnie maluje krakowski światek z lat siedemdziesiątych XIX w. — bogactwo i mieszczaństwo i rozkładający się klas szlachecki — arystokratyczny. Prawda o tych czasach i ludziach skry się w „Pańskich dziadach” blaskotliwą obserwacją, kapitalnym humorem satyry i gorzką ironią. I tutaj zasadniczą rolę gra owa realistyczna, rzetelna prawda o minionej rzeczywistości, prawda, która dziełom zmarłego przed przeszło pięćdziesięciu laty autora zapewniła dziś trwałe życie.

ZDZISŁAW ANDRZEJOWSKI

HENRYK GAWORSKI

UŚMIECH

„Tutaj zginął mój syn — na Zapiecku. Całe miasto wielki płomień objął, a nie mogłem nawet swemu dziecku zwykłej świeczki zapalić na grobie.”

To nieprawda, że serce w mordedze może pęknąć... Tak jak ja kochałem, nikt nie kochał i kochać nie będzie, a patrz — wszystko, wszystko przetrzymałem.

I to miasto pięć lat zabijane ja dziś dźwigam... Piękny jest mój Rynek, upieczony przy Wiśle, jak wianek i Warszawie dany, jak dziewczynie.

Tylko żeby choć raz, choć na moment z synem przyjąć tu, objąć, pokazać. Jego wzrok po młodym łakomy tym najmilszym nasycić obrazem!

Wiem — nie może to być. Na popiołach domy wstaną, zakwitną ogrody, tylko człowiek zmartwychwstać nie zdoła, choć chciał żyć, choć umierał za młodo.

Wielem przeszedł — patrz — a żyję jednak. Ukoila mnie wielka robota i z weselem żem się też pojednał, ludzki uśmiech moje oczy otarł.

Więc co można budować — budujemy, Niestrudzenie, z uporem, od nowa... Urwał murarz. I jakby dzień bujny nagle blaskiem go swym zadziwował —

uśmiech wszedł mu na twarz. Uśmiech mocny, jak to miasto dźwigane ze zwalisk. Taki uśmiech tylko nasze wiosny mogą w oczach człowieka zapalić.



Leopoldo Mendez: Pochodnie.

* * *

Blask pochodni uderza
W ciężkie niebo złej wieści —
Leopolda Mendeza
Plansze twardsze od pięści.

Jak podpalony lont
Linia Alfreda Zalce —
By meksykański łód
Wybuchnął jutro w walce.

Biała i czarna kreska,
Białe i czarne życie —
Jednym manna niebieska,
Drugim kula o świcie.

Z białej i czarnej linii
Wróżyć można jak z dłoni —
Cień agaw i pinii
Zbrodniarzy nie osłoni.

Idą peoni — styszysz? —
W świt wyzwolenia bliski,
Wyrok historii pisząc
Oстрым rylcem artysty.

STANISŁAW OSTROWSKI



Aguirre: E. Zapata, przywódca ruchu chłopskiego.



Członkowie Pracowni Grafiki Ludowej, której jednym z

GRAFIKA MEKSYKAŃSKA

...Pracownia Grafiki Ludowej dziełami swoimi powinna przyczyniać się do umacniania obozu postępu i pokoju, powinna wspierać lud meksykański, walczący o demokrację przeciwko faszystowskiej reakcji...

...Biorąc pod uwagę fakt, że cele społeczne postępowej plastyki są nierozłącznie związane z wysoką jakością jej artystycznej formy, Pracownia Grafiki Ludowej dążyć będzie do stałego rozwoju i doskonalenia warsztatu twórczego swych członków...

Takie były główne wytyczne stowarzyszenia twórczego postępowych grafików meksykańskich, zorganizowanego w latach trzydziestych przez znakomitych artystów — Leopolda Mendezę, Luisa Arenalę i Pabla O'Higginsa. Dziś, oceniając niemal dwudziestoletni dorobek Pracowni Grafiki Ludowej, śmiało można powiedzieć, że jej członkowie (jest ich już obecnie kilkunastu) dochowali wierności tym zasadom. Nie było w tym okresie takiego wydarzenia społecznego, takiego problemu, na który nie zareagowałby natychmiast swoim oryginalnym pod względem formy dziełem. Prace, piętnujące wyzysk i zbrodnie dokonywane przez rodzimą reakcję na robotnikach i chłopach meksykańskich, demaskujące potworne oblicze hiszpańskiego i niemieckiego faszyzmu — znane były przed wojną już nie tylko w samym Meksyku, ale w całej Ameryce Łacińskiej.

Podczas drugiej wojny światowej Pracownia jeszcze silniej potrafiła oddziaływać na społeczeństwo: w dziesiątkach plakatów, ulotek ujawniała zbrodnie hitlerowskie, wzywała do walki ze światowym faszyzmem, umacniała wiarę w siłę Armii Radzieckiej, która zadawała Hitlerowi druzgocące ciosy.

Lata powojenne — to okres wyjątkowej pracy postępowych grafików meksykańskich na rzecz umacniania pokoju, okres walki przeciw próbom wzniesienia nowej wojny przez amerykański imperializm. Znajdują równocześnie wyraz w ich dziełach wszelkie zjawiska nierozłącznie związane z ustrojem kapitalistycznym: głód, strajki, bezrobocie — nędza uciskanego ludu meksykańskiego i jego walka przeciwko niesprawiedliwości społecznej.

Grafika, którą reprodukujemy poniżej, pochodzi z albumu, podsumowującego niejako dotychczasowy dorobek Pracowni.



organizatorów był Mendez (na zdjęciu w drugim rzędzie).



Alfredo Zalce: Kobiety z Yucatan.



Oscar Frias: Zrujnowani chłopci — ilustracja.



Arturo Garcia Bustos: Made in USA.



Pablo O'Higgins: Plakat antyhitlerowski.



Leopoldo Mendez: Chłopiec na karuzeli

MIELIŚMY lecieć, ale w ostatniej chwili zmieniło się coś, więc jedziemy pociągiem o jeden dzień wcześniej. Dwaj posłowie na Sejm, przewodniczący Zarządu Głównego Zw. Zaw. Hutników, trzech przodowników pracy, kierownik młodzieżowej brygady z Łodzi, brygadzi-
sta zespołu tynkarskiego w Nowej Hucie, maszynista z Bydgoszczy, kierownik wydziału CRZZ, sekretarz CRZZ, członek ZZPPiS, laureat nagrody państwowej, trzech byłych partyzantów oraz literat — oto pokrótce skład naszej delegacji. Razem osiem osób.

Przygotowania trwały krótko. Zanim na dobre oswoiłem się z wielką niespodzianką, już środa, już rozglądanie się za wolnym przedziałem w pociągu Warszawa Główna - Terespol - Brześć. — „Ostatni wagon prawie pusty”. — Idziemy na koniec peronu. Rzeczywiście są miejsca. — „Czy aby do Brześcia — pytamy — czy na pewno?” — „Kolejarskie słowo!”. Zerkamy, co powie nasz Kolejarz (mundur i złote galony robią swoje. Nawet pod koniec miesięcznej podróży, kiedy znaliśmy się już nie tylko z imienia i nazwiska, nikt nie wołał inaczej: a gdzie nasz Kolejarz? Dlatego duże „K”).

— Siadajcie — mówi i zachęca gestem — bo i tu nam zajmą miejsca. Ja skoczę na przód i wybiorę przedział.

Wciągamy walizki i pudła z upominkami; ocieramy pot, kiwamy ręką odprowadzającym i każdemu, kto zdradza zainteresowanie naszą gromadką (domyslnie wyjeżdżających jest ogromna), wyjaśniamy chórem: Do Moskwy!

Jak było do przewidzenia, pociąg ruszył. Warszawa żegnała nas pogodnym rankiem. Chciałoby się tu wtrącić parę słów o słońcu na dachach domów i na wieżach, o iskrach na iglicy, o Wiśle z resztkami nocnej kry, ale już postukują koła na rozjazdach. Za nami dworzec Wschodni, jesteśmy za miastem, więc chowam notes i zamykam pióro. Sześciu z naszej ósemki jedzie pierwszy raz do Związku Radzieckiego. Wyobraźnia i domysłami zaczynamy wyprzedzać czas i bieg pociągu. Na jak długo? Dokąd pojedziemy z Moskwy? Podniecenie wywołane podróżą wzrasta z minuty na minutę... Bo tak, i do Leningradu trzeba wstąpić choć na krótko i o Stalin-gradzie zapomnieć nie można. Potem nad Wołgę i nad Don, na Kaukaz, do Kijowa, na Krym, do Zaporozża, do Baturmi, Baku, do Magnitogorska... Ktoś mówi o Władywostoku... Wtedy znów zgodnym chórem powiadamy: „Stop! Bez przesady!”. Okazja w sam raz do wypowiedzi zasadniczej. — „Towarzy-

DO MOSKWY PO RAZ P

sze radzieccy są bardzo gościnni, więc z wódką, za przeproszeniem, raczej ostrożnie”.

Wybuchamy głośnym sprzeciwem: — „Co za pomysły, komu wódka w głowie! Co znowu! Ależ skąd!”

— ...bo budowlani — znów ktoś powraca na alkoholową drogę — lubią czasem...

Brygadzi-
sta z Nowej Huty, słynny na całą Polskę tynkarz (525% nowej normy!), ucina sprawę krótkim wyjaśnieniem.

— Owszem, zejść się murarze w kilku, trzech, czterech... Pograją na harmonii, owszem, wypiją pięć, sześć litrów i pójdą potem spokojnie do domu. Co tu gadać o pijaństwie w naszym fachu?

— ...rozumiecie, zasadniczo zagadnienie trzeba ustawić tak...

— Ja bym takiego chłopca, co tak się spotyka na pięć, sześć litrów, kijem przegnała z domu — wtrąca kierownik brygady młodzieżowej.

— Towarzysko Krysiu...

— Chwileczkę. Powiedziałam swoje-
mu zaraz po ślubie: żadnych pijaków w domu!

— Jeżeli będziemy nad kanałem Wołga-Don... Znów podróżujemy pociągiem i samolotem. W mgnieniu oka przenosimy się z miejsca na miejsce, oglądamy, zwiedzamy, przypominamy sobie, co jeszcze „konieczne trzeba obejrzeć”. Za oknem Mińsk. Na razie Mazowiecki. Wychodzę na korytarz.

— Miałem tu chodzić do szkoły, ale ciężko w moim wieku zaczynać naukę. — Widać jasne nowe budynki. — Może to technikum budowlane...

Murarz zapala papierosa i patrzy na chowającą się za wydmy szkołę. Nie wypytuję o szczegóły. Za wcześniej jeszcze na zwierzenia. Chwilę palimy w milczeniu.

— Chciałbym kupić w Moskwie dziecinne kino. Podobno zabawki tanie? Może wystarczy na zegarek. Kupiłem porządną w Berlinie, ale mi skradli na zabawie w Krakowie. Kto wie, czy nie odpiął się sam? Mógł spaść i koniec.

— Aha, więc to już drugi wasz wyjazd za granicę?

— Trzeci. Miesiąc byłem w Bulgarii. Lecieliśmy pięć godzin do Sofii. Samo-



Moskwa. Biblioteka im. W. I. Lenina

fat. N. Sotociow

lot dobra rzecz. Szybko, czysto. Bulgaria ładny kraj. Nad morzem pięknie. Kto by się spodziewał, że będę mógł tyle zobaczyć? Teraz znów do Moskwy. Czy myślałem kiedyś?

Później, gdy poznałem bliżej Stanisława Figla, opowiedział mi o swoim życiu, zrozumiałem jego podziw dla czasów, jakich się wreszcie doczekał.

W wagonie coraz cieplej, prawie gorąco. Kurz snuje się ze wszystkich kątów, wydostaje się z miękkich siedzeń, przeciska się przez niezbyt szczelne okna. Pragnienie przypomina o zapasach, w jakie wyposażyla nas na drogę troskliwa CRZZ.

— Towarzyszu Figiel, napijcie się wina? — wołają z przedziału.

— Figiel — poprawia spokojnie. — Napiję się. Chodźmy umyć ręce.

Lepki pył osiada na twarzy, na rękach.

kach. Brud pokrywa ubranie cieniuteńką warstwą. Tak, czas najwyższy umyć się. W chwilę później wycieram namydloną twarz ręcznikiem. Figiel stukną w zbiornik, przekręca kurek w lewo, w prawo. Wycieka kilka kropel i na tym koniec. Wracamy do przedziału.

— Wiecie, Kolejarz, człowiek cierpliwość zaczyna tracić...

— Co, nie ma wody? Hm... Bierzcie kielbasę przez papier, bo macie mydło na palcach.

— Towarzyszu Hugieli, wino.

— Figiel, nie Hugieli...

Pijemy wino, zjadamy zapasy podtykane troskliwie przez kierownika wydziału łączności z zagranicą, towarysza Kuźbę. Ktoś przypomina sobie o herbach z cytryną. Ba, co za pomysły w pociągu! Wiadomo, że nie ma wagonu restauracyjnego. Jemy, palimy, znowu jemy. Pragnienie powraca. Kuźba oddziela winem i jabłkami i ze stoickim spokojem znosi uporczywe przekręcanie nazwiska. Był już Kuźmą, Kośbą, Kosibą, Kuźbą i Kabzą. Teraz go sekretarz z Kielc częstuje dla odmiany Kocibą... Wchodzi konduktor.

— Delegacja? Aha. Musicie się w Terespolu przesiąść. Wagon nie idzie do Brześcia. Brzeskie wagony w przodzie pociągu.

Bez słowa patrzymy na Kolejarza. On zaś patrzy w okno.

— Zdaje się, że zaraz będzie Biała — mruczy — nie znam tej linii. Miałem rację, już Biała!

W Terespolu chwytamy bagaże i kłusem przenosimy się do właściwego wagonu. Przedzej, przedzej! Nikt już nie wierzy zapewnieniom, że pociąg stoi pół godziny. Wreszcie, po spodziewanym paczce, paczuszek i walizek, oddychamy z ulgą, oczywiście na korytarzu. W chwilę później kontrola paszportów. WOP grzeczny, surowy, urzędowy... „Delegacja związkowa? Bardzo dobrze”.

Już są paszporty. Ruszamy w stronę mostu. Nasz posterunek. Bug pokryty lodem. Wolniutko przejeżdżamy nad graniczną rzeką. „Nie wychylać się!” — w każdym wagonie znajduje się taki, co wszystko wie najlepiej... O, już posterunek radziecki. Żołnierz w zielonej czapce z granatowym otokiem kiwa przyjaźnie dłonią. Już ZSRR. Przesuwamy zegarki o dwie godziny naprzód.

2.

Znów są potrzebne paszporty. Oficer radziecki jest pierwszym obywatelem ZSRR, z którym zamieniamy kilka słów.

— Delegacja polskich profsojuzów? A, rozumiem, rozumiem... — uśmiecha się, ale śluby ślad zdziwienia przemija



Delegacja polskich związkowców na trybunach podczas uroczystości na Placu Czerwonym. Od lewej: Stefan Czarnecki, Józef Kłoczowski, przewodniczący delegacji, Krystyna Świdarska, Jan Cyganek, w drugim rzędzie: St. Zieliński, Stefan Kopeć, Stanisław Figiel, Antoni Kuźba

się po smagłej twarzy. „Pewnie z Warszawy nie wysłano depeszy, że jedziemy pociągiem, i oczekują nas jutro na lotnisku w Mińsku”. — I tylko jedną kobietę wzięliście ze sobą? A, nieładnie, nieładnie. Wycie bez obiadu? Ja wiem, wagonu restauracyjnego nie ma. Pewnie potrzebni będą tragarze? Nie? No, jak uważacie. A pałac w Warszawie już ma iglicę? Ładne miasto, sam nie widziałem, ale wszyscy mówią, że z każdym rokiem ładniejsze. Ot, już jest jeden wieżowiec, potem postawicie sobie więcej, jeszcze wyższe... A na Moskwie trzeba mieć ciepłe buty i ubranie. O, to dobra szuba... (Przeklinam w duchu kożuch podpięty pod nieprzemakalny płaszcz. Gorąco jak diabeł. Siódme poty biją). Oficer tłumaczy się służbą, idzie dalej. Stoimy jeszcze przed stacją. Na torach długie szeregi wagonów towarowych: dźwigi przerzucają rudę z szerokotorowych na polskie. Nieco dalej znów transport rudy. Za nim szare części maszyn umocowane na platformach. Za daleko, by można było odczytać, dla jakiej z naszych fabryk są przeznaczone.

— O, patrzcie, ruda! — Jeden z pociągów właśnie manewruje kierując się na most. — Ruda, ruda, pewnie krzyworoska...?

3

Ledwie zatrzymał się pociąg, już odnaleźli nas przedstawiciele „Inturista”. Powitania, dopytywanie się o bagaż, czy naprawdę nie ciężki. Z uporem bronił się przed usługami „nosiliszczików” ubranych w białe tradycyjne fartuchy. Przenosimy rzeczy do pokoju gościnnego „Inturista”. Bardzo ciepło. Bardzo wygodne kanapy. Odsapnąć chwilę, a potem umyć się.

Obiad jemy na dworcu. Wybór potraw jak w dobrej restauracji. Obrus czysty, dookoła czysto. Dworzec nowy lub odbudowany, za oknem rusztowania i mury podciągnięte na wysokość drugiego piętra. Kelnerka w ładnej bluzce (człowiek żonaty zawsze odczuwa pewne skrepowanie...), no i sama też jakaś taka miła... Proponuje z uśmiechem:

— A może tak po kieliszku moskiewskiej wódki? A może jednak? Jest dobre wino...

O nie, uroczą dziewczyno! Odmawiamy stanowczo. Jak na pozytywnych bohaterów przystało — bierzemy po namiętne piwo. Figiel popatrzył na mnie, je na niego... — Wiecie, tam w Moskwie, siadamy do stołu obok siebie. Chcę lażienkę pomalować na olejno, potrzeba mi waszej rady.

W zupie, nazywanej bulionem, tkwi dobra ćwiartka kury. Wcale nie dziwię się, że przy sąsiednim stoliku oficerowie rozcieńczają kurzy tłuszcz stugramową miarką.

— Patrzcie, patrzcie — upominają mnie towarzysze podróży — jak tu czysto, porządnie, jakie obfite porcje. A ten sufity cały wymalowany na olejno? Zwróćcie uwagę! Będziecie przecież o tym pisać.

Kiwam głową i łykam z wysiłkiem ostatni kawałek kury. Ale towarzysze nie mają litości — zamawiają dla mnie antrykot wielkości talerza. — A i kompot będzie.

— Piwa...! — błagam z pokorą. Pogardzam sobą, ale wypłbym kieliszek wódki. Antrykot jest równie tłusty jak kura. Jedynie w oczach Figla dostrzegam błysk współczucia.

— Trzeba było zamówić befsztyk... — mówi Kryśia Świdarska — wołowina nie jest tłusta.

— Ale wół duży. Zresztą nie wiedziałem, że jest w jadłospisie. Nieznajomość alfabetu mści się na pierwszym kroku.

— Patrzcie, towarzysze, jak powinien wyglądać bufet na dworcu. Tu można zjeść według upodobania i kieszeni. Widzicie, tam piją szampana.

4

Po dwóch godzinach znów z walizkami idziemy przez peron. W jaskrawym świetle (dworce oświetlone są bardzo

obficie) radzieckie wagony przypominają dziecinną kolejkę. Przywykliśmy do widoku ciemnego wagonu, pokrytego tęgą warstwą kopcia i brudu, pod którą trudno dopatrzyć się koloru, na jaki kiedyś wagon malowano. Radzieckie wagony, jasne, o miłym dla oka odcieniu zielonym, aż błyszczą, tak są czyste, wychuchane. Dlatego właśnie upodobniają się do dziecinnej zabawki przyniesionej przed chwilą ze sklepu. To nie tylko moje wrażenie.

— Przynieśli wagon w pudełku, rozpakowali z bibułki i postawili na tor... Nie siadamy do nowych, metalowych wagonów. Czekaają na nas miejsca w najdroższym wagonie „międzynarodowym”, drewnianym.

— Cholera, jak tu czysto... — słyszę za sobą. Na korytarzu dywanowy chodnik, na chodniku biały pokrowiec. Okucia mosiężne mieniają się jak złote. W przedziale na siedzeniach również białe, prosto z pralni pokrowce. Przedział duży, szeroki, cztery miejsca sypialne. W I klasie dwa.

— No i co, Kolejarz? No i co!

Wyciągam chusteczkę i wycieram ścianę obitą ciemnoczerwonym materiałem, ścieram stolik przy oknie — ani śladu kurzu. Nie pomijamy żadnego drobiazgu...

— Na końcu korytarza jest zbiornik z przegotowaną wodą do picia. Figiel ostentacyjnie wyciąga mydło i ręcznik.

— Jak tylko ruszymy idę się myć. A wy, towarzyszu Czarniecki?

Kolejarz ma już dość. Wybucha:

— Zebyście wiedzieli, ile ja na komisji sejmowej właśnie o czystości na dworcach i w wagonach! Co jestem winien, że tu jest czysto? Ileż kosztuje taki wagon? Aha!

— Stary wagon też można utrzymać w czystości. A za to, że tu jest czysto, nie ponosicie, rzecz jasna, żadnej odpowiedzialności.

Z głośnika (pociągi w ZSRR są radiofonizowane) rozlega się zapowiedź odjazdu. Pociąg kurierski nr 3 pod kierownictwem inżyniera wyrusza w podróż do Moskwy. Jeszcze jedno spojrzenie na peron. Już odsuwają się powolutku posągi Lenina i Stalina, umieszczone przy wejściu do brzeskiego dworca. Z powodzi światła zanurzamy się w mrok. Radio gra: Jedziemy coraz prędzej. Migają ostatnie światła Brześcia. Raptem zjawia się konduktor (w każdym wagonie jest dwuosobowa załoga). Wyjaśnia, jakby się usprawdliwiał:

— Zaraz pościele wam, towarzysze. — Ależ głupstwo, nam się nie spieszy. Jeszcze wcześniej!

Po chwili znów zagląda do naszego przedziału.

— Pewnie gorącej herbaty? Powiedzieć, ile szklanek? Cztery? Zaraz przyniosę!

— I za herbatę dziękujemy. Naprawdę nic nam nie brak! Dziękujemy za troskliwość! — odpowiadamy onieśmieni i nieco zaskoczeni.

Konduktor pokręcił głową, poszedł. Sprawa wyjaśniła się nieco później, gdy zdjąłem łokieć z guzika umieszczonego koło drzwi i dzwonek przestał terkotać w przedziale szubowym...

Radio już nie gra. Głosy cichną. Leżymy zasłuchani w jednostajny turkot kół. Za 24 godziny Moskwa. Zapalam lampkę nad łóżkiem; już tylko dwadzieścia. Noc i cały dzień. Próbuje przeliczyć na krajowe nasze odległości i pod wrażeniem przestrzeni, tej tak charakterystycznej cechy radzieckiego kraju, zasypiam.

5

Pociąg nie spieszy się. Płyń nie zmieniając szybkości przez płową równinę porośłą resztkami zwarzonych mrozem traw. Od czasu do czasu porykuje lokomotywa kłó złudzenia przypominając syreny holowników. Nabrawszy za stacją szybkości trwamy w niej przez kilka godzin, aż do następnego miasta. Płyniemy przez monotony kraj mie-



Moskwa. Wysokościowy gmach na Bulwarze Kotelnicheskim

fol. M. Czernow

niący się w słońcu różowymi odcieniami ugru. Często nadbiega do toru las. W pamięci utrwalają się brzozy — najwięcej ich widać. Przybliża się i oddala szosa wiodąca na Moskwę — stary napoleoński trakt.

Na chatkach jeszcze znać ślady ostatniej wojny. Jedziemy przez strony wypalone do gołej ziemi, strącone masami czołgów. Nad domami budki dla ptaków zawieszane na wysokich żerdziach. Niby symbol powracającego życia na straszliwie zniszczone tereny.

Znów pustka. Ani chat, ani pól. I raptem nowa szosa, nowa linia kolejowa, dziesiątki samochodów-wywrotek sunących szfurem w stronę jakiejś budowy. Potem znowu step. Ogromne stogi siana, ciemne, jeden przy drugim, podobne z daleka do wioski. Dalej zabudowania murowane. Duży park towarowy. Maszyny rolnicze. Pola uprawne uciekają przed wzrokiem w zasnuły mgiełką horyzont. Ot, właśnie tak, nic tu przewidzieć nie można. Z pozornej jednostajności wynurza się nagle nowa fabryka lub bielejące świeżością zabudowania kołchozowe. Oko przyzwyczaiło się do równiny, nie spodziewa się zmiany, i właśnie za chwilę równina marszczy się jak poruszony obrus. Pojawiają się wzgórza, góry, jary, rozpadliny, coraz więcej brzezińek — zupełna zmiana krajobrazu. Miasto na pagórkach, to już Smoleńsk. Przeskakujemy Dniepr, wątlą tu i niepozorny. Spotykamy się z tą piękną rzeką jeszcze parokrotnie w jej środkowym i dolnym biegu. Tylko barwy te same — ugrę.

Następny „przystanek” — Wiaźma. Im bliżej do Mołajśka tym więcej pól uprawnych. Ziemia wciąż płowa, gli-

niasta. Potem konduktor wywołuje nas na korytarz. Na wzgórze ni to obelisk, ni to pomnik.

— Borodino!

Wczesny zmierzch zarzuca zasłonę na kraj, który pochłaniamy oczami zapominając o czasie i o szachach stojących na stoliku.

— Już za dwie godziny... Już za godzinę...

Teraz czas wlecie się nie do wytrzymania. Raz po raz sprawdzamy zegarki. Cóż to, utyliły się w smole? Nim się minuty pozbiierają w kwadrans — mija godzina. Jakież światła! Konduktor uspokaja:

— Jeszcze czas, to dopiero podmoskiewskie fabryki.

Wreszcie jest. Kolista łuna nad szeroko rozłożonym miastem. Wieżowce pierwsze wychodzą na spotkanie. Ujęte w smugi bładniebieskich reflektorów zmieniają widok Moskwy w jakiś baśniowy obraz. Światła coraz więcej. Już trudno ogarnąć je wzrokiem. Radio gra. Słuchając piosenki o Moskwie wypatrujemy kremłowskich gwiazd... „Obywatele podróży, pociąg zbliża się do stolicy naszej ojczyzny — Moskwy!”

— Widzieliście uniwersytet? Najwyższy wieżowiec z czerwoną gwiazdą na iglicy, bo tamten, to budynek mieszkalny.

Muzyka gra. Wjeżdżamy na dworzec Białoruski. Kryśi wręczają bukiet. Nas ściskają. Widzimy wokół siebie przyjaźnie uśmiechnięte twarze. Trzeba przymrużyć oczy. Moskwa oślepia ilością światła. Oszłamnia bogactwem swej odświętnej szaty. Nie można Moskwy porównać do żadnej z widzianych przedtem stolic.



WSPOMNIENIA WARSZAWSKIE

Ilustrował: WŁ. DASZEWSKI

DZIECIŃSTWO

Urodziłem się na nie istniejącej już dziś ulicy Niecałej, która łączyła kiedyś Ogród Saski z ulicą Wierzbową. W roku 1945, gdy przyjechałem po wojnie do Warszawy, stała jeszcze fasada domu, poznałem okna frontowe i żelazny balkonik na drugim piętrze. Tyle zostało z domu pod numerem szóstym. Za arkadą na wpół zrujnowanej, osmalonej pożarem bramy rozciągał się typowy pejzaż warszawski owych czasów, gruz i zwaliska porośnięte zielskiem. Z tej bezkształtnej masy rumowisk wyobraźnia, zasilana pamięcią, z trudem wydobywała dawne ramy architektoniczne, w których rozgrywały się dramaty i bez troskie sceny mego dzieciństwa.

tych kamieniczkach rodziny rzemieślników nędźnie opłacanych, robotników bez pracy, z dziećmi bez rumienia, bez nadziei awansu społecznego, bez prawa do nauki.

I dziś Stare Miasto podźwignięte z gruzów zdobia malowidła ściennie. I dziś bogactwo fasad nie zawsze odpowiada zamożności wewnątrz, ale nie ma tu już dawnego kłamliwego kontrastu, owej obłudy i pogody na pokaz, bo domy mieszkalne Starego Miasta budowano z troską o nowych mieszkańców tej dzielnicy, bo robotnik, który to mieszkanie dostał, ma nie tylko łazienkę, ale ma poczucie własnej godności, ma pewność pracy i możliwość wychowania i wykształcenia swych dzieci.

Myśląc o dawnych czasach pamiętać więc należy, że, jak na dawnym Starym Mieście, niejedną prawdę smutną i gorzką gotowi jesteśmy przysłaniać żywymi barwami naszej młodości i względną bez troskę życia jednej grupy społecznej przyjmować za obraz całego społeczeństwa.

W czasach mego dzieciństwa mieszkania ludzi zamkniętych izolowały się od innych mieszkańców tego samego domu ryglami i zasuwami, łańcuchem u drzwi i służbą w przedpokojach. Tylko biedota z czwartego piętra, z oficyn czy z suterenu pożyczając sobie balii, rondla, szczypty soli, zapalek, przychodziła z pomocą w wypadku choroby czy połogu. Solidarność bogatych wyrażała się w bardziej skomplikowanych formach działania społecznego i politycznego, oddawano sobie wzajemne usługi w bankach, urzędach, w prasie i ustawodawstwie, ale w życiu codziennym unikano się ostrożnie i było to normalnym stanem rzeczy, że adwokat z pierwszego piętra nie znał osobiście swego sąsiada fabrykanta czy doktora z drugiego piętra. Mieszkanie mego ojca było pod tym względem nietypowe. Drzwi zarówno od frontu, jak i od kuchni nigdy na klucz nie zamykano.

Drzwi kuchenne były głównym wejściem do mieszkania dla wszystkich domowników i w kuchni koncentrowało się nasze rodzinne życie towarzyskie. W tej kuchni dużej i przestronnej królowała kucharka Franciszka Weronowska. Tęgawa, o cerze oliwkowej, odpowiadała swym wyglądem nazwisku. Nie wiem, czy to był wymysł stryja Józefa, czy też istotnie Frania pochodziła z rodziny, która przybyła kiedyś do Polski z Weroni. Utwierdzał nas w tym fakt, że Frania mówiła po włosku. Była również jedyną osobą w naszym domu, która mówiła po żydowsku. (Wychowywała się i służyła długie lata u mego dziadka na Królewskiej, gdzie włoskiego nauczył ją stryj Józef, a żydowskiego dzieci, z którymi bawiła się na podwórku).

Frانيا śpiewała bardzo ładnie. Szczególnie podobała mi się pieśń na nutę „Santa Lucia“, zaczynająca się od słów: „Burza, noc cicha, wolnem oddycha pierś marynarza...“ Dopiero kiedyś po wielu latach zastanowiła mnie oryginalność tych słów i pewna, powiedziałbym, sprzeczność obrazu burzy i nocy cichej. W dzieciństwie wydawało mi się to najzupełniej naturalne. Równie naturalnym wydawał mi się fakt, że w zielonym kufku Frania na wewnętrznej stronie wieka, wśród wklejonych obrazków świętych, amorków pogańskich i gołąbków z różami, znajdował się również portret japońskiego generała Nogi.

Był to niewątpliwie wpływ środowiska, w którym łączono z wojną rosyjsko-japońską wiele nadziei niepodległościowych i rewolucyjnych. Temu egzaltowanemu kultowi Japończyków przypisać należy fakt, że generał Nogi awansował do rzędu niemal świętych pańskich. Ludzie o prostych sercach łatwo łączą dawne kultury z nowymi — i w naszych czasach zdarzają się fakty podobne. Nasza pracownica domowa, aby wykonać w tym roku czyn pierwszomajowy, umiała statuetkę Marii Panny w kościele bernardyńskim.

Z początkiem wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej zaczął narastać mit o potęgę armii japońskiej, której pierwsze sukcesy rozbudzały i ośmielały wyobraźnię. Japończycy w przeciągu paru miesięcy awansowali na coś w rodzaju uniwersalnych demonów. Ojciec mój

opowiadał, jak ta nowa mitologia przedostała się nawet do cukierek dzielnicy żydowskiej i jak wyglądała bitwa pod Cuszimą w relacji mieszkańców ulicy Bieleńskiej. Opowiadający upaja się olimpijskim spokojem japońskiego admirała, deklaruje się każdym szczegółem i trzyma w napięciu słuchaczy. „...Generał Nogi siedzi u siebie w kabinie i on je zsiadłe mleko z kartoflami. I przylatuje adiutant i mówi: Wasze Wielczestwo! Już widać na horyzoncie flotę rosyjską. On nie. tylko je zsiadłe mleko z kartoflami. To przylatują generałowie i kapitanowie i krzyczą: Wasze Prewaschaditelstwo! Flota rosyjska już tu jest! A on dalej, jak gdyby nigdy nic, je zsiadłe mleko z kartoflami. To przylatują znowu i krzyczą, że Rosjanie już strzelają. To on wstał, wytarł usta serwetką, wyszedł na pokład i zatopił całą flotę rosyjską...“

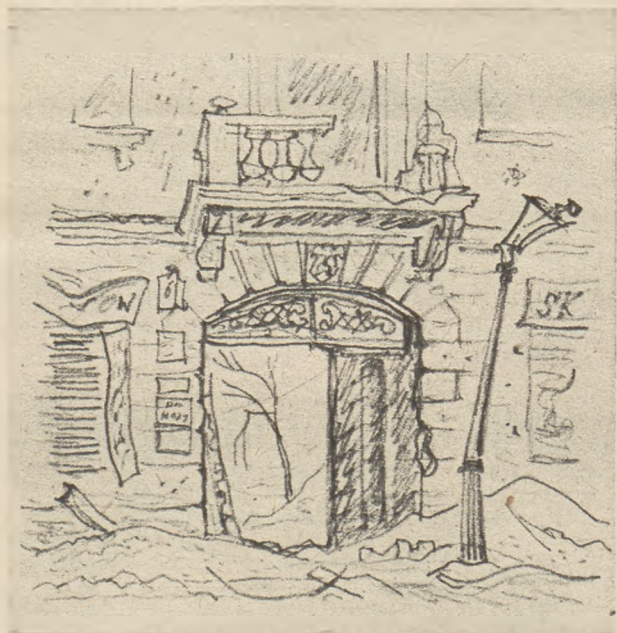
Liczne były opowiadania ojca na temat wojny rosyjsko-japońskiej i słynny był jego dowcip po zawarciu pokoju, że Rosja ma teraz pokój z japońskim obciem. Ojciec mój miał opinię jednego z najdowcipniejszych ludzi w Warszawie. Potwierdza tę opinię Prus w jednej z „Kronik Tygodniowych“, a Ignacy Baliński w swoich pamiętnikach wspomina, że gdy wyszła „Lalka“, w postaci doktora Szumana poznano popularnego w Warszawie doktora Słonimskiego. Mnie osobiście nie wydaje się ta wersja prawdopodobna. Ojciec mój nie miał nic ze zgryźliwości i pesymizmu doktora Szumana. Dowcip jego był pogodny i nie dokuczliwy, jego pogląd na świat miał szlachetną prostotę, typową dla postępowej inteligencji końca wieku dziewiętnastego. Ojciec mój wierzył w socjalizm i w niepodległość Polski i służył tym dwu ideom w jego pojęciu jednoznacznym. Złudzenia jego i nadzieje, nawet jego błędy wynikały z wiary w człowieka, z wiary w postęp i z patriotyzmu, a obowiązkiem przychodzenia z pomocą ludziom cierpiącym praktykował na codzień. Lekarze w owych czasach nie mieli, jak dziś, wyraźnie określonych specjalności. Ojciec wzywany był do najrozmaitszych wypadków i często sam będąc chorym, otulony podniszczonym futerkiem biegał po mroźnych ulicach, drapał się na poddasza i schodził do suterenu warszawskich. Był lekarzem ludzi biednych i często nie tylko honorarium nie brał, ale zostawiał u pacjenta ostatnie parę rubli.

Prus bywał u nas w domu. Z mglistego o nim wspomnienia zostały mi tylko w pamięci czarne jego okulary. Charakterystyczną jednak cechą najlepszych ludzi tych czasów były raczej okulary różowe. Pozytywizm warszawski i przodująca inteligencja późniejszego okresu, czytająca Milla, Spencera, Władysława Nałkowskiego, Ludwika Krzywickiego czy Aleksandra Świętochowskiego, wiele nadziei łączyła z postępem



wiedzy ścisłej i cywilizacji technicznej i zbyt pochopnie stąd wyciągała wnioski. Trwały i przez dwudziestolecie te złudzenia radykalizującej inteligencji, która wierzyła, że nauka rozwiąże wszystkie problemy społeczne, że można perswazją odebrać środki produkcji klasie posiadającej. Ojciec mój był typowym przedstawicielem tego kierunku, ale nieobcy mu był pewien sceptycyzm, nieodłączny od prawdziwego poczucia humoru. Pamiętam jego znakomite powiedzenie na temat ciasnego empiryzmu: „Doświadczenie nas uczy, że zawsze kto inny umiera“. Obraz świata w oczach mego ojca był harmonijny i prosty. Wiedza ówczesna była dostępną inteligentnemu czytelnikowi. Ojciec mój mógł zarówno rozumieć Newtona, jak Darwinia. Wykształcenie przyrodnicze nie kolidowało ze znajomością matematyki i nauk humanistycznych. Nie było tej specjalizacji, która czyni z wybitnego fizyka absolutnego ignorantą w biologii, i odwrotnie. Fizyka nie zeszła jeszcze do podziemi i nie stała się wiedzą tajemną. Kapłani tej sekty nie mówili jeszcze wtedy językiem niezrozumiałym dla swoich kolegów, profesorów innych fakultetów.

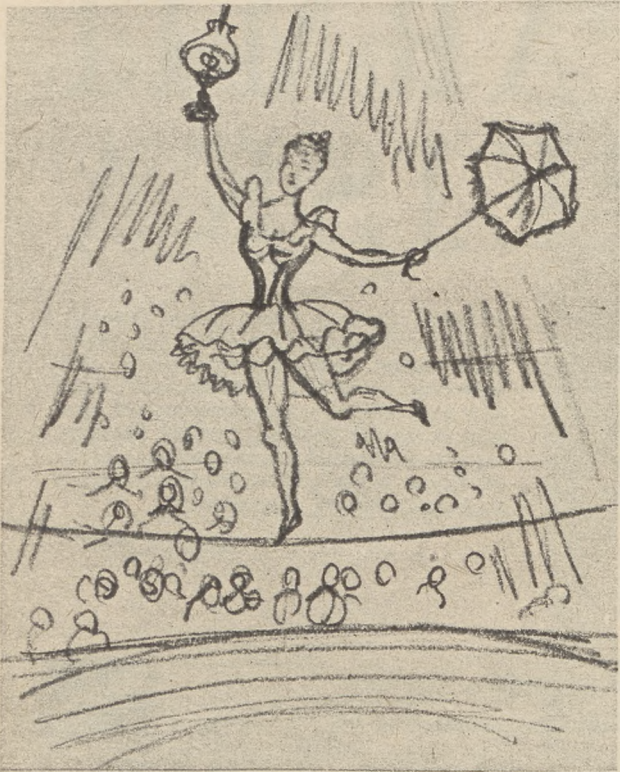
Na początku naszego wieku ludzie oświeceni zdolni byli śledzić postęp nauki we wszystkich niemal dziedzinach. Żywe było zainteresowanie literaturą i teatrem, zwłaszcza w zaborze rosyjskim, jak w Grecji dawnej, teatr był niemal widowiskiem religijnym. Brak parlamentu i niezależnego życia politycznego, egzaltacja marzeń niepodległościowych, wszystko czyniło z teatru świątynię i salon polityczny, scena była ołtarzem, a kuluaryrewia mody i kuźnia plotek. Cenzura carska tamowała i jednocześnie wyostrzała uczu-



Notując wspomnienia związane z miastem tak bezprzykładnie zniszczonym jak Warszawa, trudno jest odświeżać pamięć widokiem dawnych ulic, placów i domów, bo na ich miejscu albo wre zaciekle robota murarska, albo też stoją już nowe ulice, domy czy osiedla. Próżno bym szukał pomocy w zapamiętaniu się, oderwaniu od dnia dzisiejszego, co zawsze sprzyja wspomnieniom, gdyż wracając w przeszłość i błądząc wśród tych ruin tym żywiej odczuwam siłę i piękno nowej treści, nowych praw, dzięki którym powstaje do życia sprawiedliwszego i prawdziwszego to miasto bliskie memu sercu.

Dorzucając własne wspomnienia do licznych historii warszawskich pragnąłbym dać obraz możliwie wierny czasów mego dzieciństwa; i jak ten, co schodzi do piwniczki po dość już omszałą butelkę wina i wynosi ją na światło dnia, chciałbym, aby ta wyprawa w przeszłość nie była daremną, aby Czytelnik, patrząc na nowe budowle socjalizmu, nie zgubił sentymentu do starej Warszawy. Jest to moja mała prywatna odbudowa Starego Miasta. Nie brak tu będzie może złudnych czasem polichromii i upiększeń, bo takie jest prawo wspomnień, w których odnaleziony na nowo czas młodości rozjaśnia i rozprasza cienie i mroki.

Stare miasto było już kiedyś, w czasie dwudziestolecia, restaurowane i pokrywane malowidłami pełnymi złocen, ale nie trzeba zapominać, że te bogato dekorowane fasady kamieniczek kryły wnętrza pełne brudu, zaduchu, gdzie w dwupokojowym zapluskwionym mieszkaniu, bez łazienki, a nieraz i bez kanalizacji, gnieździło się po kilkanaście osób. Pod cechowymi godłami, barwnie na nowo odmalowanymi, kryły się w



cia patriotyczne młodzieży. Wszystko bowiem, co było zakazane, nęciło i pobudzało wyobraźnię. Pamiętam afisz Teatru Rozmaitości, na którym pod tytułem sztuki „Mazepa” widniały małe literki: napisał J. S. Ojciec objaśnił mnie, co te inicjały znaczą, i fakt, że historię miłości młodego Mazepy do pięknej wojewodziny opisał Juliusz Słowacki, nadawał specjalny patriotyczny sens ukryty w każdej scenie. Jako dwunastoletni chłopiec pewien byłem, że Wojewoda to Car, wojewodzina to Polska, a Mazepa to Kościuszko. Starsi koledzy wyszydili ten pogląd. Oczywiście Polską był Mazepa i dlatego został przez Cara zamurowany.

Czarowały nas kostiumy teatralne i stroje narodowe dopuszczalne tylko na scenie. Bardzo mnie wtedy interesowało, czy szabla Mazepy była prawdziwa. Bogatsi w doświadczenie koledzy twierdzili, że na pewno jest z blachy, bo prawdziwej cenzura by nie puściła. Wielką wtedy wśród sztubaków popularnością cieszyło się Pogotowie Ratunkowe. Nie ze względu na funkcję społeczną, ale z powodu umundurowania. Oznaka Pogotowia, czapka z niebieskim lampasem, musiała wtedy wystarczyć jako pokarm dla dusz łaknących polskiego munduru. Z tych samych przyczyn fascynowały nas kaski strażackie. Istniały oczywiście wtedy i mundury prawdziwe, ale były one dla nas koloru khaki, niewidoczne, a raczej niedostrzegalne. Tylko chłopcy bez ambicji biegali za wojskiem idącym z muzyką czy za oddziałem kozaków. My z bratem wiedzieliśmy, że na to wojsko nie wypada patrzeć. Trudno by nam pewnie było wytłumaczyć, gdyby się nas kto spytał, dlaczego te piszczałki i bębny wcale się nie liczą, ale czuliśmy się w posiadaniu jakiegoś ważnego sekretu i fakt ten dawał nam poczucie zrozumiałej wyższości. Rozkosz ta jednoznaczna była z wyrzeczeniem, jak wiele rozkoszy moralnych.

Najsilniejszym jednak przeżyciem teatralnym mojego dzieciństwa nie był „Mazepa”, ale „Demon”. Matka zabierała mnie do Opery, w której siedziałem zdrętwiały ze strachu, nieczuły nawet na ulubione pomadki, których bomboniera leżała na czerwonym, aksamitnym parapiecie naszej łóżki. Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Olbrzymi ptak z ludzką twarzą sfrunął z teatralnego zrębu skały i przysiadł na krawędzi mego łóżka. Rodzice nie przypuszczali z pewnością, że widowisko operowe może wywołać we mnie tak silny wstrząs psychiczny. Miałem gorączkę, nie mogłem zasnąć, dostałem więc łyżkę rycyny, wiadomo jednak, że infekcja poezji nie zawsze daje się usunąć przy pomocy środków przeczyszczających. To pierwsze spotkanie ze światem sztuki, kto wie, czy nie zaciążyło na całym moim życiu. Być może, gdyby tego dnia w Teatrze Wielkim dawał nie „Demona”, lecz „Obronę Częstochowy”, byłbym ministrem albo generałem.

Kiedyś po wielu latach siedziałem w kawiarni z pewnym starym śpiewakiem operowym. Prosił mnie, żebym poruszył w prasie stosunki panujące w operze i niesprawiedliwy do niego stosunek dyrekcji. To on śpiewał partię „Demona”. Czy mógł przypuszczać, że zaciążył na moim całym życiu? I czy ja mogłem przypuszczać, że Demon będzie mnie prosił o protekcję?

Teatr czarował nas i straszył, pociągał i niepokoił. Cyrk ubóstwialiśmy bez zastrzeżeń. Cyrk w owych czasach był wspaniałym kolorowym widowiskiem. Z tradycją cyrku związana jest rzetelność i precyzja. Tu nie ma błędów. Kryteria są nieubłagane. Trzeba umieć zrobić salto mortale, bo jak się nie umie, to się nie da zablagować żadnymi czarami. Zły żongler upuści lampę wirującą na kiju bilardowym, a zły akrobata skreśli kark. Niestety, w innych dziedzinach sztuk pięknych panuje znacznie większa bezkarność. Powoli jednak i do cyrku wkradła się błąd. Takim nabieraniem, i to bardzo skutecznym, były organizowane międzynarodowe turnieje walki francuskiej. Kierownicy tych turniejów znali dobrze psychologię publiczności cyrkowej. Dla zaostreżenia emocji potrzebna była dawka antagonizmów narodowych. Ostatnia decydująca walka między zapasnikiem żydowskim a polskim atletem odbywała się zwykle w sobotę wieczorem i z powodu jakiejś nieformalności powtarzana była w niedzielę. Pamiętam tego

rodzaju walkę między Pineckim, specjalistą od „nelsonów”, a Wildmanem. Gdy Pinecki założył olbrzymiemu Wildmanowi podwójnego „nelsona” i Wildman sapnął i męczył się w tym uścisku, publiczność żydowska z galerii zaczęła gwizdać i krzyżeć: „Puść go, puść go!” Prowadzący walkę sędzia wstał i podnosząc rękę uciśzył galerię mówiąc: „Panowie, Wildman nie jest dzieckiem!”

Pierwsze moje zainteresowania polityczne i wczesny mój patriotyzm karmiony był atmosferą domową i lekturą poetów romantycznych. Lękałem się jednak, że mniej więcej tyle rozumiem z czytanych wówczas wierszy Mickiewicza, co ze zdarzeń politycznych. Przez długie lata żyłem w przekonaniu, że „z wień Alpuhary” oznaczało jakiegoś zwierza, a „już w gruzach leżą Maurów posady” oznaczało, że Maurowie stracili posady, czyli dobrze płatne stanowiska. O ile ojciec mój wierzył, że odzyskanie niepodległości będzie jednoznaczne z usunięciem wszystkich krzywd społecznych, mój obraz świata był bardziej skomplikowany. Widziałem się na czele szwoleżerów spod Samosierry, rozbijających w puch pułki rosyjskie, hiszpańskie, tatarskie czy niemieckie, w zależności od czytanej w danej chwili powieści. Nie odmawiałem sobie przyjemności małych wypadów do Ameryki w celu wyrznięcia paru plemion indyjskich, zabijałem w mej wyobraźni bardzo wielu Murzynów w Afryce i wykradałem niektórych wraz z Tomkiem Sawyerem. Ulegałem urokowi lektury i popadałem w młodzieńcze pozy. Jako uczeń trzeciej klasy bywałem już znudzonym arystokratą, prawym prostodusznym księciem, rubasznym wachmiistrzem kawalerii, odkrywcą bieguna lub starcem z gór, aby nagle pod wieczór, bez żadnego uprzedzenia, zmienił się w krwiożerczą Żelazną Dłoń z plemienia Siuksów. Słownictwo moje ulegało również niespodziewanym zmianom. Na widok naszej Frani wchodzącej do pokoju dziecinnego wydawałem dzikie indiańskie okrzyki lub zwracałem się z wyniosłą godnością mówiąc: „Moja dobra Franciszko, wasz pan udaje się do szkoły, zczekać więc z posiłkiem na mój rychły powrót”.

Kiedyś przeczytałem w starym numerze „Wędrowca” anegdotkę o hr. Bedfordzie i Jerzym II, która oczarowała mój umysł. Hr. Bedford spóźnił się o kwadrans na audiencję i gdy wchodził do króla, zegar na kominku wybił godzinę pierwszą. Hrabia zbliżył się do kominka i uderzeniem laski rozbił zegar.

— Cóż panu uczynił zegar, że go pan tak potraktował? — spytał zdumiony król.

— Jak to, Wasza Królewska Mość nie słyszała? Przecież zegar pierwszy uderzył!

Powiedzenie hrabiego Bedforda wydało mi się tak wspaniałe, że postanowiłem całą tę anegdotę wprowadzić w życie. Spóźniwszy się kiedyś umyślnie na podwieczorek, czekałem pod drzwiami, aby wejść na pół minuty przed uderzeniem zegara. Wreszcie z laską pożyczoną z przedpokoju wchodzę. Ale zegar, mimo iż wskazówki dobiegały już godziny piątej, nie spieszył się z wybięciem godziny.

— Czego stoisz? Siadaj — odezwał się ktoś z rodzeństwa. Już to popsuło mi trochę szyki. W tej chwili jednak zegar zaczął wybijać godzinę, uderzyłem więc z całej siły i rozbiłem cyferblat.

Zrobiła się początkowo wielka cisza w pokoju. Zamiast zapytać się po ludzku, normalnie — co ci ten zegar uczynił, żeś go tak potraktował? — zaczęto na mnie krzyżeć i odebrano mi laskę, a kiedy po paru minutach doszedłem wreszcie do głosu i wykrztusiłem przez zęby: „Zegar pierwszy uderzył...” — powiedziano mi, że oszalałem i wyrzucono mnie z pokoju.

Pierwsze moje próby literackie cechowała niedokładna znajomość słów, które dźwiękowo działały na mą wyobraźnię. Ulegając modzie orientalistycznej, pod wpływem lektury Farysa zacząłem w ceratowym brulionie szkolnym pisać poemat pod tytułem „Harem”. Pamiętam pierwsze dwie linijki, na których zresztą poemat się urwał. „Czemu to miejsca na tym świecie nie ma — Dla biednego mnie Harema”. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że słowo Harem oznacza imię męskie.

CIĄG DALSZY NASTĄPI



NA TEMATY LITERACKIE

MARIAN BRANDYS

I INNE

FELIETON NIE BŁAHOSTKA

SEKCJA SATYRY ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH poświęciła jedno z ostatnich zebrań omówieniu twórczości znakomitego felietonisty Zbigniewa Mitznera, znanego powszechnie pod pseudonimem Jan Szeląg.

Wtajemniczeni twierdzą, że zebranie było przeznaczone głównie dla przedstawicieli naszych wydawnictw, gdyż poza wydawcami ludzie na ogół niechętnie orientują się w twórczości Mitznera-Szeląga. Znajdą ją szerokie koła czytelników, regularnie czytujących felietony Szeląga w „Szpilekach”, „Świecie” i „Expressie Wieczornym”. Znajdą ją dziennikarze i literaci, którzy z racji swego zawodu w zasadzie uważają się za zwolnionych z obowiązku czytania książek i gazet, ale felietony Szeląga czytują z życzliwej koleżeńkiej ciekawości, czy tak płodny autor przypadkiem się w swych utworach nie powtarza. Znajdą ją także pisarze satyryczni, którzy twórczością Szeląga interesowali się zawsze. A od czasu gdy został redaktorem naczelnym „Szpilek” — interesują się nią w dwójnasób.

Jedynymi ludźmi, których dotychczas twórczość Mitznera-Szeląga zupełnie nie interesowała, byli nasi wydawcy. Ów brak zainteresowania ze strony wydawców sprawił, że w ciągu dziewięciu lat niezmordowanej działalności najlepszego i najpłodniejszego felietonisty Ludowej Polski ani jeden zbiór jego felietonów tygodniowych nie został wydany w formie książkowej. (Wyjątkiem jest wydany niedawno przez „Czytelnika” zbiór esejów literackich pt. „Wyprawy w przeszłość” — ale to już inna sprawa).

Nie można więc się dziwić, że organizatorzy niedawnego zebrania Sekcji Satyry pragnęli zaprezentować twórczość Szeląga przede wszystkim mało spostrzegawczym wydawcom. Ale ten główny cel zebrania całkowicie zawiódł. W wypełnionej sali zebrali Sekcji Satyry ZLP przedstawiciele wydawnictw — według malowniczego określenia pewnego młodego literata — „świecili nieobecnością”.

Pomimo nieobecności wydawców „szelągowe” zebranie Sekcji Satyry było bardzo udane. Liczni dyskutanci starali się możliwie najsumienniejszym analizować wybitne zjawisko literacko-publicystyczne, na które składa się olbrzymi, choć rozdrobniony, plon dziewięcioletniej działalności pisarskiej Zbigniewa Mitznera. Podkreślano niezwykłą płodność felietonisty, jego głęboką erudycję i szeroki zakres zainteresowań (od czysto publicystycznej kroniki tygodniowej do wnikliwego eseju literackiego). Chwalono odkrywczy charakter felietonów, ich polemiczną żarliwość i celną aktualność.

Dla scharakteryzowania sposobu, w jaki Mitzner korzysta ze swej erudycji — tego nieodzownego i najważniejszego kapitału felietonisty — pozwolę sobie przytoczyć jeden z przykładów, cytowanych w dyskusji. Ośmielając w felietonie polską skłonność do biurokracji i marnotrawstwa, Mitzner przytoczył żartobliwy sąd króla Stanisława Augusta o zbурzeniu Bastylii. Najdowcipniejszy (choć nie najszcześliwszy) z królów polskich dziwił się, że Francuzi tyle trudu i energii włożyli w zbурzenie Bastylii. „Wystarczyło tam posłać jednego polskiego starostę, a po trzech tygodniach doprowadziłby twierdzę do ruiny”. Przykład na pozór drobny, ale jak ogromnej i doskonale opanowanej wiedzy trzeba na to, aby podobne stare anegdotki umieć ożywić rumieńcem aktualnej satyry.

Od twórczości Mitznera dyskusja przeszła do ogólnych rozważań na temat felietonu. Zwracano uwagę na stałe niedocenianie i lekceważenie tego trudnego gatunku literackiego przez krytyków. Znany satyryk W. Brudziński przedstawił zebranym egzemplarz pierwszego wydania książkowego „Kronik Tygodniowych” Bolesława Prusa, którego marginesy popatrzył zjadliwymi uwagami jakiś współczesny Prusowi krytyk, przygotowujący się zapewne do recenzji z tej książki. W notatkach tych powtarzają się najczęściej słowa: „błaha” i „błahostka”.

Cóż, nie jest ostatecznie felieton taką błahostką, jeżeli anonimowy krytyk sprzed przeszło pół wieku docekał się omówienia na zebraniu literackim wyłącznie za tych parę notek, nakreślonych na marginesie felietonowych przeglądów tygodnia.

Z wysuniętych na zebraniu postulatów odnośnie twórczości felietonowej trzeba przede wszystkim podkreślić zasadniczy postulat zapewnienia felietoniście — temu autorowi najbardziej osobistego kąciłka w gazecie — najdalej posuniętej swobody osobistych sformułowań. W imię pomyślnego rozwoju naszej twórczości felietonowej postulat ten powinni sobie zapamiętać ci wszyscy biurokratyczni redaktorzy i krytycy, którzy z takim upodobaniem tępią u felietonistów każde „odstępstwo od ustalonej normy”.

Przyjaciel mój, zapamiętały myśliwy, wygłosił mi kiedyś dłuższy wykład na temat kuropatw. Z wykładu zapamiętałem, że na dobrze zagospodarowanym łowisku zasadniczą racją bytu kuropatwy jest nie „wychodzenie na strzał”, lecz niszczenie stonki i rozmnażanie gatunku.

Otóż z felietonistą jest podobnie jak z ową kuropatwą. Felietonista nie pisuje po to, aby go „bito centymetrem po głowie” za każde „zbyt swobodne sformułowanie”. Ale pisuje przede wszystkim dlatego, aby gietką i błyskotliwą bronią lekkiego kalibru zwalczać wrogów Polski Ludowej i aby tworzyć wzory dobrego piśarstwa dla młodego narybku polskich dziennikarzy.



Rys. A. Perzyk

12

TADEUSZ KUBIAK

DZIŚ PARYŻ

*Kim teraz są to dzieci,
jak księżyc nieruchome,
które po latach widzę
dziś w fotoplastikonie.*

*Czy przeżyły w swym mieście
pierwszą wojnę światową?
Czy głowę trochę już męskich
nad cichą chyliły wodą.*

*Czy w grozie drugiej wojny —
dojrzał — nie zdradził
miłości mojej, a jaką
patrzę na nie w tej chwili.*

*Co robią dzisiaj w mieście
se zdjąć mi tylko znany?
I czy nie nas nie dzieli
ni gniew ni ocean?*

*W swym mieście pełnym słońca,
jak w moim pełnym deszczu,
jak ty grają na skrzypcach,
jak ja do córki śpięszą?*

*Kim są, kim są te dzieci,
jak księżyc nieruchome,
przywołane z przeszłości
dziś fotoplastikonem?*

*Wtedy stojąc w ogrodzie,
jak wszystkie dzieci świata
wiem — były zakochane
w zwierzętach, kwiatach, ptakach.*

*Później drżała — leś o tym
młodzi fotoplastikon —
ziemia w ryku zwierzęcym,
a niebo w ptaków krzyku.*

*W lamencie kwiatów rokosz
znali smutku, miłości?
Czy mam im dzisiaj wiele
wybaczyć, czy zaszczyć?*

*Czy mogą dłoń ich męską
po przyjacielsku ścisnąć?
Czy jesteśmy od siebie
na odległość pocisku?*

*Czy stojąc na dwóch brzegach
mówi różnych jednej ziemi —
gdy krzyknę — odpowiedzą,
czy też będą milczeli?*

*Kim są, gdzie są — dłużego
nie o ich życiu nie wiem,
idąc tą samą ziemią,
śpiąc pod tym samym niebem?*

*Kim są, jak żyją — coście
z nich uczynili, wstędy,
zmienną jak pory roku
waszej najładniejszej Francji?*

*Gdzie są, czy żyją poza
tym fotoplastikonem —
dzieci jak księżyc dobre,
jak księżyc nieruchome.*



„KWARTET“



KIEDY w roku 1946 otwarto w Muzeum Sztuki Współczesnej w Paryżu wystawę tkaniny artystycznej, pierwszą wielką wystawę po zakończeniu wojny, we wszystkich niemal pismach fachowych i codziennych pojawiły się entuzjastyczne wzmianki i artykuły dotyczące tego ważkiego w dziejach sztuki francuskiej wydarzenia. W wystawie tej widać zapowiedź odnowy pięknej tradycji francuskiego arrasu, zaś atmosfera przyjaźni i życzliwości, jaką otoczono tę wystawę, wynikała w dużej mierze z faktu, że tematyka ukazanych tkanin nawiązywała do bohaterskich dni Ruchu Oporu, opiewała Francję,

wolność i niepodległość tak niedawno odzyskaną.

Dziś artyści, którzy w roku 1946 ukazali swoje prace paryskiej publiczności, plastynom i krytykom — wystawiają je w warszawskiej „Zachęcie”. Dziewiętego grudnia odbyło się uroczyste otwarcie tej wystawy. Od tego czasu tłumy warszawian przesunęły się przez sale „Zachęty”. Przywiodło ich tu żywe zainteresowanie dla dzieł sztuki francuskiej, przywiodła ich ciekawość dla twórczości współczesnych artystów francuskich, ciepła życzliwość; z jaką dzisiejszy polski odbiorca sztuki śledzi wszelkie rzetelne poszukiwania nowego współczesnego i narodowego wyrazu w

twórczości artystów innych krajów. Tłumy ludzi oglądających wystawę tkaniny artystycznej poszukują w ukazanych tu eksponatach obrazu Francji, którą znają z arcydzieł malarstwa i literatury, Francji o tradycjach wielkiej twórczości, nie skażonej naleciałościami taniej kosmopolitycznej tandety. Taki „oddech Francji” znajdzie widz polski w dziełach najwybitniejszych odnowicieli tkaniny francuskiej, jakimi są Jean Lurcat, Marc Saint Saens czy Jean Picart Le Doux. Gęsta zieleni liści powtarzająca się w dziełach Lurcata czy Wogensky'ego opowiada o stokach winnic Burgundii i Ile de France, głosi chwałę francuskich drzew, owoców i

ptaków, sławi piękną i urodzajną ziemię, rybaka łowiącego ryby z jej rzek, pasterza wypasającego owce na jej trawach, prządkę i rolnika, popijającego w cieniu altany wino z grubej szklanki. „Opoje” Saint-Saensa to jakby scenka wyjęta z ulubionej książki polskiego czytelnika „Colas Breugnon”. „Rybak” Lurcata wlokący na ramieniu bogaty plon, połowu i oplątany w gałęzie winnej zieleni — to jakby symbol obfitości francuskiej krainy. „Syrena” i „Zima” Jeana Picart Le Doux urzekają poetyckim wdziękiem i lekkością, tak nieodłączną od dobrej francuskiej sztuki.

Na wystawie w „Zachęcie” nie brak, poza wymienionymi trzema twórcami, i innych wybitnych nazwisk. Spotykamy tam tkaniny wykonane według kartonów Marcela Gromaire, Ferdinanda Leger, Raoula Dufy, Francois Desnoyers. Nie wszystkie jednak tkaniny wykonane czy to przez wymienionych tu malarzy-projektantów czy przez innych, których trudno wymienić w tak krótkim sprawozdaniu — dają odbiorcy tę samą radość i zadowolenie. Sam Jean Lurcat, jeden z najczynniejszych inspiratorów, entuzjastów i twórców odrodzenia tkaniny francuskiej, stwierdza, że sztuka ta, dźwigająca się po pięciu czy sześciu wiekach do nowego życia, daleka jest jeszcze dzisiaj od spełnienia nadziei, jakie w niej pokładają jej twórcy i wielbiciel. Nie dość wyzwolili się jeszcze projektanci tkanin od przemożnego wpływu malarstwa sztalugowego, malarstwa, które często z techniką realistyczną niewiele ma wspólnego. Wynika to zresztą nie tylko z postawy i dążeń artystów projektujących tkaniny. Produkcja tkaniny artystycznej jest niezwykle kosztowna, tak że w praktyce nie projektuje się jej nigdy bez uprzedniego zamówienia przez klienta. Klient zaś we Francji to najczęściej jakiś bogaty kolekcjoner prywatny, który zamawiając tak drogi przedmiot sztuki — trzeba pamiętać, że tkanina średniej wielkości kosztuje dziś we Francji kilka milionów franków — stawia własne żądania artystyczne. Często żądania te wynikają z przelotnej mody panującej w sztuce, często źródłem ich jest snobizm i chęć posiadania dzieła „pokupnego” na rynku dzieł sztuki. Dlatego, między innymi, tyle tkanin francuskich zaplanowanych jest według kaprysu sztuki abstrakcyjnej i surrealistycznej. Na wystawie artystycznej tkaniny francuskiej, która znajduje się obecnie w Warszawie, wyraźnie znać wpływ obu tych kierunków, panujących jeszcze w wielu ośrodkach plastycznych Francji. Z wielu jednak elementów najwyższych dzieł, o których już wspomnieliśmy, z dzieł takich wreszcie, jak „Śpiewające drzewo” czy „Czuwający”, rokować można dla francuskiego tkactwa najlepsze nadzieje na przyszłość.

„OPOJE“

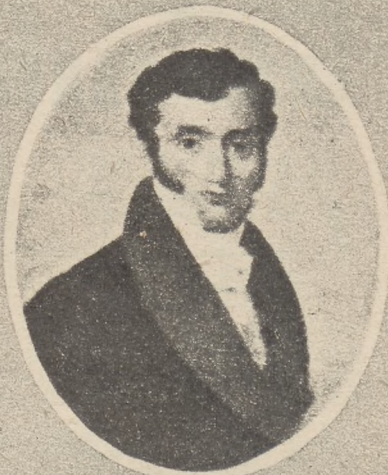


„CZUWAJACY“





Stanisław Marszałkiewicz: Studium do miniatury



Stanisław Marszałkiewicz: Miniatura

— Rozrosło się bardzo — konstato-
wał Ambroży i kiwaliśmy obaj głowami,
bo była to święta racja i prawda oczy-
wista.

— Ale bez tego wszystkiego naokoło,
to nie byłoby to właśnie — dodawał
Ambroży i znów kiwaliśmy głowami.
Melancholijny monolog Ambrożego
dźwięczy mi jeszcze w uszach, kiedy za-
bieram się do pisania. „Diariusz Damy”
jest co prawda sprawą z epilogiem, i to
jakim jeszcze! Ale historii „Diariusza”
nie można opowiedzieć jednym tchem
i zaraz na wstępie muszę prosić: bądź-
cie cierpliwi, zechciejcie wysłuchać od
początku.

Działo się to w czasach, którym po-
święcono niemało literackich monogra-
fii, esejów i powieści. Z samej epoki
zresztą zachowały się nie tylko doku-
menty kulturalne i obyczajowe, ale i
elementy reportażu: pozostawili je pod-
różnicy, często cudzoziemcy; strony
procesujące się w trybunałach; autorzy
ogłoszeń nawet. Te ostatnie były oczy-
wiście najróżniejszej treści. Księgarz
Netto, „wedle zamku”, reklamował na
przykład „najgustowniejsze bilety wi-
zytowe”, a księgarz nadworny, Michał
Gról, ostatnie nowości:

„Awantury Idziego Blasa z Santyla-
ny”, pisana przez Pana le Sage po Fran-
cisku, a teraz po Polsku wytłumaczona
IV. Tomiki. 8. w Dreźnie 1760...”

„Tysiąc nocy i jedna”. Awantury
Arabskie. 5 Tomy 8, w Warszawie 1768...”

A przecież najwięcej było ogłoszeń o
zbiegłych pańszczyźnianych chłopach.
Ruszała którejś nocy, garbiąc plecy obo-
lałe od razów, ciężko oddychając, unika-
jąc uczęszczanych dróg. Szli nocami, w
pojedynkę albo po dwóch, w stronę
miasta, w świat daleki, w którym inny
ekonom biczem trzaska, ale chociaż nie
ten, na którego widok drżał z gniewu rę-
ce, a wargi same, bo nawet usta przy-
uczono do poddaństwa, mamrocz sakra-
mentalne wiekowe:

„I nie wódz nas na pokuszenie...”

Ale i tak gniew wzbiera, niejasna
myśl o innym życiu czepia się snów, spo-
koju nie daje, nie pozwala patrzeć bez
ruchu na własną piekącą krzywdę. Ta
myśl pędzi w odległe okolice, własne,
bo polskie, to prawda, ale i obce zara-
zem, bo pańskie, ekonomiczne, nieżyczli-
we prostym ludziom. W nieznanej sto-
licy, Warszawie, ukazują się powiado-
mienia:

„Podaje się do wiadomości publico, iż
z dóbr Krubic ziemi wyszogrodzkiej Jej-
mość Pani Mokronowskiej Strażnikow-
wej Polnej Koronnej ludzie uciekli nie
masz więcej nad tygodnie dwa: forys
Józef, wzrostu miernego, błądy na twa-
rzy...” — i dokładny rysopis i szczegó-
łowe wyliczenie, jak ubrany był forys, jak
drugi zbieg „kredencjarz imieniem Fran-
ciszek, wzrostu wysokiego”, jak panien-
ka Anna Skórkowska, „którą wyprowa-
dzili z sobą”. Przypomina się „Balwierz-
Artysta” Leskowa, okrutne dzieje pań-
szczyźnianej miłości, na którą uwzięły
się folwarczne porządki i wszystkie jarz-
na feudalnego świata. Zdawało się
Franciszkowi i Annie, że został ten
świat daleko gdzieś poza nimi, nierze-
czywisty i godny zapomnienia, a prze-
cież był on wszędzie obok nich, w każ-
dym stogu pańskiego siana, w każdej
mijanej dąbrowie, w każdym spojrze-
niu, co podejrzliwie takuje przybyłych.

„Gdyby kto dowiedział się — kończy-
ła Jejmość Pani Mokronowska swój
anons w „Gazecie Warszawskiej” — gdy-

by kto dowiedział się i przejął lub przy-
trzymał tych ludzi, niech się nadgłosi z
tym uwiadomieniem do Kamienicy na
Podwale J. P. Starosty Chęcińskiego do
burgrabiego, a będzie miał znaczną i
sowitą nagrodę...” Tak brzmiała nieod-
mienna formuła końcowa setek ogło-
szeń, i nawet ona, deprawująca i słu-
żająca, była częścią maszyny przemocy.

„Uciekło pewnemu panu na Nowym
Świecie mieszkającemu ludzi trzech
poddanych... Kto by ich złapał, niech
przystawi do Warszawy, do dworku p.
Kłafa... za co będzie miał nagrodę i ek-
spens powrócony...”

„Ulan imieniem Wojciech... lat około
20 mający... uciekł... od pana swego...
Obwieszcza się publicum upraszając,
iżby wyrażonego zbiega, gdziekolwiek się
pokaże... łapano i przytrzymano... Za co
należyta wdzięczność będzie każdemu
wymierzona z powróceniem kosztów...”

Oto oprawa „Diariusza” — rzeczy co-
dzienne i straszne, wielkie więzienie
karne, które z zapalem godnym lepszej
sprawy retuszowali od wieków cyniczni
panegirycy. A przecież ci z nich, któ-
rzy byli z zawodu historykami, musieli
przeczytać w materiałach archiwalnych
z ostatnich dziesięcioleci lat wieku XVIII
albo o wielmożnym Kajetanie Żuku,
który to wielmożny miecznik czernie-
chowski „poddanych do robót niezwy-
czajnych... przyniewala i okrutnym bi-
ciem przymusza... różgami i kańczuga-
mi siecze”; albo o staroście wojnickim
Franciszku Laszkowskim, „od którego
bicia niektórzy ludzie chorowali, a dru-
dzy pumierali”; albo o kasztelarze
Nolskim z Grodziska, który chłopów
„bić, więzić, w dyby, w kajdany, do ga-
siora wsadzać nakazuje i innych krzywd,
beprawia i wiołencji czynić nie prze-
staje”.

Ile podobnych spraw!

W starostwie lipnickim, „ludzi, którzy
poszli na sprawę do Warszawy... poła-
pać, wiązać i zbić kazali”.

W starostwie łęczyckim, „powodów
bili, kaleczyli, żonom ich i wszystkim
domowym nie przepuszczając”.

Starosta rybicki Poniatowski kazał
skarżących się „za włosy od rezydencji
komisarskiej aż do dworu wlekać bić,
skrwawić i tam niesłusznie powtórnie
bić i więzić, w więzieniu zaś głodem
morzyć...”

Wszystko więc dokoła „Diariusza” w
takiej działo się atmosferze. Uciekali
Anna i Franciszek, ale większość pozo-
stawała przecież na miejscu, miecznik
wielmożny Kajetan Żuk mógł „pracowi-
tą Agnieszkę Kowalonkę gwałtem do
popelnienia z sobą cudzołóstwa niewo-
lić... o co i ojca jej po kilka razy bił”,
podobnie jak i ojca pracowitej Łucji
Kasprzyczonki, a zresztą były to sprawy
zwykłe, codzienne, wielka proza nie-
istniejących jeszcze sensacyjnych dzien-
ników, czarne dzieje bez sielankowych
kapotek i pseudoklasycznego fletu, hi-
storia prawdziwa polskiego ludu. Gdzie
zaczynało się w tym wszystkim okru-
czeństwo sadysty, gdzie przekroczony
został zwyczaj szlachecki, trudno
stwierdzić. Miał Hieronim Radziwiłł
wielkiego łowczego Wolskiego. Wielki
łowczy miał z kolei — opowiada pamięt-
nikarz — „zwyczaj... po pięćset i
więcej różeg i plag ludziom za małe rze-
czy dawać”. Było polowanie, nie udało
się obława, następowało zwyczajne
Wolskiego zarządzanie: „Ze ludzie nie
dopilnowali zwierz, kilku chłopów za-
raz powiesić kazał”.

Ogromne cierpienia ludu były wi-
doczne, widoczne dla każdego, kto
miał oczy, by patrzeć.

„Widzi naród uciemiężenia podda-
nych, widzi ich najędźniejsze w ostat-
nim stopniu ubóstwo” — pisał anono-
my autor „Myśli politycznych dla Pol-
ski”.

„Widzę miliony stworzeń — pisał
Stanisław Staszic — z których jedne
wspólnego chodzą, drugie skórą albo
ostrą siermięgą okryte, wszystkie wy-
schłe, znędzniałe, obrosłe, zakopciałe.
Oczy głęboko w głowie zapadłe. Dycha-
wicznymi piersiami bezustannie robią...
Ich zwierzęchnia postać z pierwszego
wejrzenia więcej podobieństwa okazuje
do zwierzwa niżeli do człowieka. Chłop —
ostatniej wzdargi nazwisko mają... Oto
stan rolnika w Polsce... Pańszczyzna...”
Przez całe wieki toczyła się walka o jej
zniesienie. Wolność ludzi i szczęście na-
rodu miały zastęp bojowników ofiar-
nych i męcznych. Folwarki broniły się
knutem i dybami, miały gorliwych eko-
nomów, pisarskich i krasomówczych
adwokatów. W roku 1789, w dobie Sej-
mu Czteroletniego, ksiądz Ignacy Gra-
bowski opublikował na przykład bro-
szurę, zawierającą wywody pełne na-
maszczenia i pobożnych wykrzykników.
Powoływano się w nich na „prawa bo-
skie i ludzkie”, które jednym poddań-
stwem, drugim panowanie nakazują,
stwierdzano, że „nie jest uciskiem kara
i więzienie winowajcy poddanego”, z
ukłonem w stronę ciemności zapew-
niano uroczysto, że „uwalniać stan
wiejski z poddaństwa nie wolno, nie
rzecz, nie można”. W czym interesie
przemawiał ksiądz Grabowski — zgad-
nąć nie trudno. „Własność szlachecka z
prawa boskiego i ludzkiego” — jest to
jednak pojęcie abstrakcyjne, ogólne i
nie wyczerpujące sprawy. W całej oka-
załości ukazują za to idealnych bohater-
ów Grabowskiego — „Diariusz Kawa-
lera” i „Diariusz Damy”.

Było to w styczniu 1767 roku. Wtedy,
gdy dwadzieścia milionów ludzi głodo-
wało i ubierało sobie ręce pod ekono-
miskim batogiem, jeden z ulubieńców księ-
dza Grabowskiego, prawdziwy pozy-
tywny bohater swojej klasy, „zaczął był
...pisać Diariusz życia swego”. Zajął ten
pamiętnik numer piąty warszawskiego
„Monitora”, każdy, kto pofatyguje się do
zbiorów wilanowskich, może w nim
przeczytać co następuje:

— DIARIUSZ KAWALERA —

„Poniedziałek.

Wstałem o godzinie 9 i piłem The.
Potem fryzowałem się i ubierałem się
aż do godziny 11.

Od godziny 11 aż do 2 oddawałem wi-
zyty gotowalniane.

Od drugiej aż do trzeciej obiad jad-
łem.

Po obiedzie grałem w karty aż do go-
diny 5.

Po 5 byłem na komedii aż do 9, od 9
aż do północy byłem na assamblach. Po
północy spać poszedłem. NB. Tego dnia
byłem trzeźwy.

Wtorek.

Podług zwyczaju wstałem o godzinie
9. O 10 golilem się, a potem fryzowałem
się aż do 11. O jedenastej wziąłem mун-
dur na siebie, chustkę uperfumowałem
i pojechałem na kawę do mojej przyja-
ciółki J.P.B.

NB. Mleko nie było dobre.

Stamtąd o 12 pojechałem do Dworu.
O godzinie drugiej jadłem bardzo dobry
obiad u J. Pana N. NB. Żeby można mu
kucharza odmówić.

Po obiedzie jakeśmy usiedli, to aż do
północy w karty graliśmy. NB. Prze-
grałem czerw. zł 15, trzeba będzie ode-
grać. O północy powróciłem do domu,
hajdukowi dałem w pysk, bo byłem zle-
go humoru po przegranej, i potem spać
poszedłem.

Szroda.

Wstałem o 9, ubierałem się i fryzo-
wałem do 11.

O 11 wódki się napiłem z przyjacie-
lem i bawiłem się z nim.

O 12 rzemieślnicy przyszli z registra-
mi, które aż do 1 przeglądałem i kaza-
łem im przyjąć do siebie jutro o 12. NB.
Trzeba wyjechać z domu o dziesiątej.

O 1 pojechałem na obiad do J. Pana
G. Kompania była dobra, piliśmy moc-
no aż do północy, N. N. dał mi w gębę.
NB. Trzeba będzie oddać.

O północy powróciłem do siebie, Haj-
duka i Marcina obilem, bo byłem roz-
gniewany, a potem spać poszedłem.

Czwartek.

Wstałem o godzinie 11, bo mię głowa
ciężko bolała.

O 12 piłem herbatę, ale i to nie po-
mogło. Rzemieślnicy przyszli z registra-
mi, kazałem powiedzieć, że już z do-
mu wyjechał, cały dzień chorowałem i
mało co jadłem.

Piątek.

Święto, wstałem o 10, fryzowałem się
i ubierałem aż do 11. Norymberczyk
przyszedł z galanteriami. Oglądałem je
długo i na kredyt niektóre wziąłem.

O 12 zacząłem się wybierać z domu.
O 1 pojechałem na mszę, ale już za-
danej nie znalazł. Powróciłem na obiad.
O 2 jadłem obiad. Po obiedzie czekałem
na J. Pana Zar., z którym miałem jechać
na pewne miejsce, a że zaraz nie przy-
jechał, nie chcąc marnie czasu trawić,
czytałem Magellana aż do 6. NB. Mu-
szę ją drugi raz czytać, piękna książka.

O 6 pojechalismy z przyjaciółmi na
miejsce umówione i tam aż do północy
bawiliśmy. NB. Byłem dobrego humo-
ru.

Po 12 spać poszedłem, ale nie mogłem
prędko zasnąć, bo hajduk kaszlał.

Sobota.

Wstałem o godzinie dziewiątej, her-
batę piłem, od 10 do 11 fryzowałem się
i ubierałem się.

Od 11 aż do 1 stałem w oknie i pa-
trzyłem się na idących przez ulicę ludzi.
NB. Trzeba się dowiedzieć, jak się ta
osoba nazywa, która przechodząc ulicą,
spojrzała na mnie.

O pierwszej pojechałem na obiad do
pewnego Pana. Stamtąd o 4 nawiedzi-
łem przyjaciela y aż do północy w kar-
ty grałem. Potem powróciłem do domu.
NB. Wygrałem 2 czerw. zł”.

Redakcja „Monitora” wyrażała od
siebie wiatłutką nadzieję, że „strawiony
marnie tydzień — może... zachęcić do
lepszego zażywiania tygodnia przyszle-
go”. Daremne nadzieje! Satyryczny
„Diariusz” był pamiętnikiem klasy,
opisem życia tysięcy próżniaków, którzy
zajęli się pracą używania.

W „Monitorze” z dnia 6 maja 1767
przeczytać można:

„Podany do publicznej wiadomości

na początku roku teraźniejszego Diariusz zabaw pewnego Kawalera pobudził jedną z dam do podobnej w zapisywaniu spraw codziennych pilności. Kilka tylko dni przełoże, z których i reszty życia domysleć się można".

— DIARIUSZ DAMY —

„Poniedziałek.

O godzinie 8 ocknęłam się: leżąc w łóżku wypitałam kawę trzy filiżanki i znowum szczęśliwie usnęła. O godzinie 10 czytałam Monitor. NB. Niechby on patrzył sobie podobnych a Damom dał pokój. Nawiedził mnie potem przy gotowaniu Jmć. P. Modnicki i bawił u mnie aż do godziny 11. Szkoda, że żonaty. Kończyłam potem ubieranie moje. NB. Postrzegłam, że kolor niebieski lepiej mi przystoi niż inne.

Wpuł do 12 przyjechał podług umowy wczorajszej Jmć P. Gachowski, z którym jeżdżiałam do Ujazdowa na spacer. Powróciwszy jadłam obiad u siebie. NB. Jmć P. Fadon Francuz przechodził koło moich okien, był gustownie ufrizonowany.

O godzinie 5 pojechałam z wizytą do Jmć Pani Staruszkiewiczowej. Nie mogłam znieść jej wykwestów: ale że była tam piękna kompania, bawiłam się aż do 8.

Powróciłam do Domu. Wieczera. Grałam w karty do północy. Udawasy się potem do spoczynku, nie mogłam zasnąć. Wykwinty Staruszkiewiczowej sprawiły mi w zły humor. Sfukałam Lizetkę.

Wtorek.

Ocknęłam się o wpuł do 9 wypiwszy dwie filiżanki herbaty, znowum spała do 10. Śniło mi się, że Jmć Pan Fadon grał ze mną w karty. Zaczęłam czytać Koloandra alic mi przyniesiono bilet od Jmć Pana Fadona. Przeczytałam go 4 razy i schowałam w szkatułce lakierowanej. Od 11 do 12 bawiłam się przy gotowaniu. Zdawało mi się, że mam była bledsza nad zwyczaj, ale Jmć P. Gachowski, który był przytomny, dowodził moimi racjami, iż mi zwierciadło krzywdę czyniło. NB. Ząb się złamał w grzebień moim fartarogowym...

Szroda.

Wstałam o godzinie 10 i postanowiłam cały dzień bawić u siebie incognito. Od 11 do 12 zamknawszy się w moim gabinecie układałam sobie minę i uśmiech młodej Wdzięczniczki. NB. Trzeba się dowiedzieć, jakiej ona wódki zażywa do utrzymania gładkości twarzy. Od 12 do drugiej naradzałam się z krawcem, jakiego koloru mam sobie suknie sprawić, ale i dotąd jeszcze nie jestem determinowana...

Hajduk szarmantkę przez nieostrość potracił. Kazałam mu za to dać dobre plagi. Napilałam się likworu pomarańczowego.

O godzinie 4 odmieniłam przedsięwzięcie: pojechałam na assamble. Nie chciałam być na komedii, dowiedziawszy się, iż miała być polska: treści grubiaństwem języka i dowcipu polskiego. NB. Wdzięczniczka miała gustowny garnitur, Pani Wymysłniczka mówiła mi do ucha, iż ma coś mnie powiedzieć o Jmć Panu Fadonie: ale jestem pewna, że to nieprawda. Pan Grzechniczki mocno mi się akkomodował: dosyć ma poloru: szkoda, że Polak. NB. Trzeba zamartwić Staruszkiewiczową...

Sobota.

...O piątej śladłam grać w trysetę: przegrałam partję 38. Na wieczery nie miałam apetytu.

Niedziela.

O 10 obudziłam się: zdało mi się, że mię głowa boli i dlatego włożyła muszkę na skronie. O 11 byłam w kościele en negligé! Ktoś w czerwonej sukni gadał z P. Wdzięczniczką. Od południa do 2 w gotowałam. J. P. Fadon powiedział, że nie lubi koloru błękitnego. Wpuł do 3 na obiedzie u Wdzięczniczki. Zamyśliwałam się często, zapewne o tym Jmci, co z nią gadał w kościele, powiadając, iż ma lat 16, ale to być nie może. Pytał mnie podstępnie, czy pamiętam Kampament pod Warszawą.



„Być albo nie być na Sylwestra w Paryżu” — oto jest pytanie, jakie zadają sobie niezawodnie (we śnie zimowym) ślimaki winniczki, czekające na wyjazd do Francji w bazie eksportowej w Wielkopolsce.

Historia ta zaczęła się dawno, dawno temu — będzie już z ponad 900 lat, kiedy to nieznany nam z imienia pielgrzym z Polski zauważył — przebywając w słonecznej Lombardii — że tamtejsi mnisi zjadają ze smakiem... ślimaki. Początkowo jego słowiańskie podniebienie wzdrgało się na myśl o takim przysmaku, jednak doszedł w końcu do słusznego przekonania, że już kto jak kto, ale mnisi — zawsze dobrze wiedzą, co jest najlepsze do zjedzenia. On to też przywiózł do kraju kobałkę tego pełzającego przysmaku, który początkowo hodowany był w ogrodach klasztornych. Faktem jest, że winniczek (nazwany tak, gdyż w swej ojczyźnie pochłaniał najchętniej młode pędy winorośli) żyje dziś niemal we wszystkich lasach liściastych w Polsce — ale jego największe skupienie obserwuje się w tych okolicach, gdzie w średniowieczu istniały klasztory.

WINNICZEK JAKO TAKI

Ślimak winniczek żył sobie spokojnie w Polsce, nie wadząc nikomu i w swym domku „małym, ciastym, ale własnym” nie obawiał się zagrożeń. Na jego nieszczęście Polacy zdali sobie sprawę, że jakkolwiek sami nie jedzą winniczki, ale mogą go sprzedawać tym, którzy gustują w umiędzonej nodze, przy pomocy której porusza się ród ślimaczy. Winniczek bowiem jako taki wyróżnia się:

- 1) Zawartością czynnego biologicznie wapna i witaminy D
- 2) Doskonałym smakiem.

Punkt drugi mego uczonego wywodu wymaga bliższego wyjaśnienia. To, że ślimak „wyróżnia się smakiem”, nie znaczy bynajmniej, iż podobają mu się felletony Wiecha, wiersze Jerzego Ludwika Kerna czy obrazy Kobzdej; tu — wyrażając się cynicznie — chodzi raczej o smak w znaczeniu biernym, czyli że winniczek odpowiednio przyrządzony delectuje podniebienia smakoszy. Próbowaliśmy i ponoszę za to pełną odpowiedzialność. Jest wiele sposobów jego przyrządzania; najczęściej przegląda się go przez kilka dni aż się oczyści ze śluzu. Potem winniczek składa swe ślimaczęce się życie na tzw. ołtarzu kulinarnych zamiłowań człowieka, czyli zostaje zabity wrznięciem. Zwioki jego, wyściągane ze skorupki, sieka się, przyprawia obficie pietruszką oraz korzeniami i dusi w ostrym sosie — by następnie włożyć cały farsz znowu do skorupki.

EKSPORT PEŁZA

Francuzi płacą nam za kilogram winniczki pełzającego 95 franków (loco granica Francji) i po 195 franków za kg ślimaków zasklepionych, czyli pograżonych we śnie zimowym. Bywalcy wytwornych restauracji w Paryżu nie wiedzą może nawet, że apetyczne „ślimaki burgundzkie” (les escargots de Bourgogne) przyjechały spod Szczecina, Wrocławia czy z Wielkopolski.

Daleka jest jednak droga do ślimaczej podróży za granicę — nim Centralny Inspektor Standaryzacji wyda paszport, stwierdzający doskonałe zdrowie, dobrą tuszę i inne cnoty, kwalifikujące polskiego winniczka do francuskiego garnka. Starania o paszport rozpoczyna winniczek bezpośrednio po rocznym — gdzieś koło 15 kwietnia, kiedy to intensywnie się odżywia. Kurację tuczącą przechodzi w jednej z 30 czynnych teraz w Polsce zagrod ślimaczycy, czyli po prostu ośrodkach hodowlanych tego pełzającego artykułu eksportowego. Zagro-

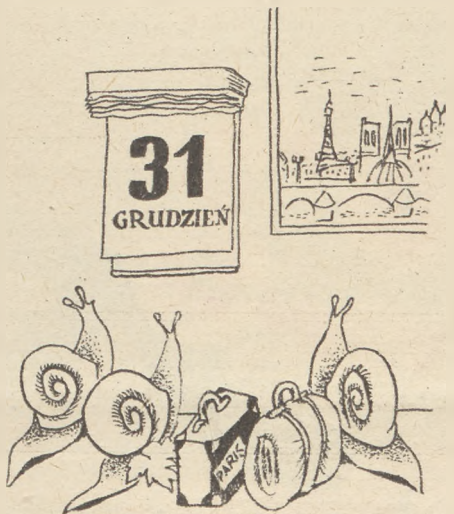
K A R I E R A W I N N I C Z K A

Opowiedziana przez LUCJANA WOLANOWSKIEGO (tekst)
oraz CHARLIEGO (rysunki)

da taka jest zwykłe polaną w lesie, gdzie zbieracze składają znalezione winniczki. Ponieważ jednak winniczek znany jest z zamiłowania do powolnych, ale cierpliwych wędrówek, a także z niezrozumienia ważnego zadania, jakie przypadało mu w naszych planach eksportowych — przeto polaną ograda się płotem bez szpar, pociągniętym pasmem siarczanu miedzi. Ten preparat chemiczny działa na ślimaki mitygująco — największy ślimaczy obieżyświat za nic nie przejdzie przez jego warstwę.

POWIEDZ MI, CO JESZ?

W samej zagrodzie winniczki żyją pełnią życia. Potrzebne jest im do budowania skorupki wapno — więc hodowcy co tydzień bledą grubo wapnem wyłożone w zagrodzie kamienie. Obowiązuje tu też zasada: „Powiedz mi, co jesz — a ja ci powiem, jak smaku-



jesz!” Nasze doświadczenia wykazały, że ślimak bardzo lubi papkę z otrąb zmieszanych z wodą, którą wyklada mu się na płaskich deszczkach. Poprawia też smak winniczka (określenie smaku — patrz wyżej!) wszelka zielenina, a w szczególności liście kapusty. Nie lubi natomiast winniczek silnie pachnących, względnie — jak pokrzywa — parzących. W pięć dni zjada tyle pokarmu, ile sam waży. Przy identycznym apetycie, przeciętny mężczyzna zjadłby dziennie ze 14 kg. pokarmu. Odżywiając się tak intensywnie winniczek nie zapomina jednak, iż mał jest mieszkańcem zakochanych ślimaków. Pamięć o tym powoduje, że w okresie między końcem czerwca a początkiem lipca winniczki składają w uprzednio wykopanych dołkach od 60 do 70 jajek. Idyllę w zagrodzie przerywają tylko czasem różne stworzenia, które (też) lubią jeść winniczki. Regularne napady na zagrodę organizują dziki i borsuki, krety zaś stosują przy włamaniach własny system, zwany w świecie przestępczym „na podkop”. Równie chętnie porywają winniczka szpaki i wrony.

Dziwne, że przybysz z południa tak się u nas zaaklimatyzował, że, znosząc nieźle mrozy, już przy 30 stopniach ciepła źle się czuje — wrzasa gwałtownie tętno jego serca, co bardzo osłabia winniczkę. 40 stopni wytrzyma tylko przez godzinę, a 60 stopni — zabija go natychmiast. Szkodzą mu też gwałtowne ulew, gdyż ślimak nie umie pływać, a jako stworzenie płucodyszne, ginie pod wodą.

CHŁOPCY Z „LASU”

Państwowa Centrala Leśnych Produktów Niedrzewnych „Las” dokonała nieładą wysiłku, stwarzając z niczego całą hodowlę. Brak fachowców pociągnął za sobą konieczność zorganizowania odpo-

wiednich kursów. Gdybyście chcieli kiedyś hodować winniczka, to i Wy będziecie musieli studiować biologię, technikę pakowania i transportu oraz inne nauki zajmujące się ślimaczymi zamiłowaniem i wygodami. Hodowla winniczka rozwija się obecnie w Polsce w tempie wprost nie ślimaczym i — jak mi oświadczył inż. Wacław Geldner z Centrali „Las” — możemy obecnie trzykrotnie zwiększyć eksport tego artykułu. Wręcz przeciwnego zdania jest zajmujące się eksportem winniczka Państwowe Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego „Dalspo”, gdzie powiedziano mi, iż produkcja krajowa... nie nadąża za zapotrzebowaniem zagranicznych klientów. Wspomniano, że obok stałych nabywców francuskich, ostatnio również i Austria pragnie nabyć 40 ton winniczka z Polski. Rozwiązanie tej zagadki (chyba przez Ministerstwo Handlu Zagranicznego) może nam przynieść „bagatelną sumkę” przynajmniej 95 milionów franków. Rachunek jest prosty: wywieźliśmy w tym roku 45 ton winniczki pełzającego, a ponad 4 tony zasklepione czekają na odebranie przez eksporterów. Innymi słowy, gdy pójdzie za granicę (jak zaraz wyjaśnię — nie jest to pewnikiem) i ta ostatnia partia, to rok 1953 zamknijemy wywozem okragło 50 ton winniczka. Gdybyśmy jednak — jak twierdzi inż. Geldner — wykorzystali nasze pełne możliwości hodowlane i wyprodukowali 150 ton — to nadwyżka nad wynikiem tegorocznym warta jest (winniczek pełzający) 95 milionów fr., względnie (zasklepiony) — 195 milionów fr. Możliwości takie warto są chyba odpowiedniego wysiłku dla koordynacji pracy producenta z eksporterem.

Teraz — jak rzekłem — ponad 4 tony zasklepionych ślimaków czekają na podróż do Francji. Importerzy francuscy naglą i tylko od sprzyjystego załatwienia tej sprawy zależy, czy polskie winniczki powitają Nowy Rok na hucznej zabawie w wytwornych lokalach Paryża, czy też w słodkim śnie w bazie w Wielkopolsce. Od wyjaśnienia tej sprawy zależy, czy 780 tysięcy franków w wolnych dewizach wpłynie na nasze konto w Paryżu, czy też... rozpełźnie się po lasach. Jak dotąd bowiem większość ślimaków nie wyeksportowanych z tych czy innych względów — odzyskała na wiosnę swobodę.

ZABIA WDIĘCZNOŚĆ

Przykładem śmiałej inicjatywy naszego handlu zagranicznego jest eksport piestrzenicy, czyli grzyba o mało estetycznym wyglądzie, który w dodatku wymaga odgoryczenia — a za którego kilogram francuskie firmy płacą nam 2.250 franków. Mamy też zapytania ze Szwajcarii o jaja mrówcze (dla produkcji chemicznej) oraz... skorupki ślimaka. Ślimaki faszkuje się bowiem w tej proporcji, że, po przyrządzeniu, dwa ślimaczę ciała wypełniają trzy skorupki. Nasunęło to obrotnym przedsiębiorcom myśl kupowania w Polsce dodatkowo i skorupki. Zapytania z Francji o zielone zabki, kierowane przez „Dalspo” do Centrali Importowo-Eksportowej Artykułów i Przetworów Pochodzenia Zwierzęcego „Animex”, zbywane są tam pogardliwym milczeniem. Jakkolwiek bowiem towaru mamy mnóstwo, to jednak „Animex” uważa, że brak mu odpowiednich urzędów, odpowiedniego aparatu do prowadzenia tego eksportu. A przecież eksport ślimaka został u nas też zaimprovizowany z niczego — trudno mówić o jakichś tradycjach w tej dziedzinie! Na swych wieczornych wiecach zielone żaby rechoczą pod niebo wynosząc wygodnielstwo „Centrali Rybnej” i „Animexu”. Oblewają się one zimnym, zielonym potem na myśl, iż jakaś decyzja, idąca z góry, spowoduje, że Polsce ubędzie krajowych żab, a przybędzie zagranicznych dewiz.



ORZE BALE

GRA ŚWIĄT



ECZNA „ŚWIATA”

Tekst:
JAN BRZECZKA
Rys.:
HA - GA

ZE SZCZECINA DO WROCŁAWIA

Kto chce zwiedzać zgodnie z planem
Nasze Ziemie Odzyskane,
Ten wraz z nami się wyprawia
Ze Szczecina do Wrocławia.
Droga czeka nas daleka,
Niechaj tedy nikt nie zwleka,
Tylko w jednym stanie rzedzie
I dwie kostki rzucać będzie,
Bo gra właśnie się zaczyna.

1

Wyjeżdżamy ze Szczecina!
Szczecin leży blisko morza,
A nam czas do Myśliborza.
Kto sześć punktów ma co najmniej,
W Myśliborzu miejsce zajmie.
Kto wyrzuci mniej od sześciu,
Ten w Szczecinie na przedmieściu
Czekać będzie sam, dopóty,
Aż ominą go dwa rzuty.
Gramy dalej. Według kości
Przebywamy odległości:
Każdy punkt jest równy miastu,
Od jednego do dwunastu,
Więc gdy ilość punktów wzrasta,
Przebywamy szybciej miasta.
A więc w drogę! Czasu szkoda!
Wszędzie czeka nas przygoda!

2

Gorzów. Powiedz, przyjacielu,
Gdzie twój plecak? A! W hotelu...
Zapomniałeś go w Szczecinie,
Teraz kłopot cię nie minie,
Musisz wracać wnet z Gorzowa
I zaczynać grę od nowa.

3

Kostrzyn. Jesz w gospodzie flaki?
Skoro jesteś żarłok taki,
Będiesz siedział przy obiedzie,
Aż następny gracz nadjedzie.

4

Start w Słubicach. Bądź gotowy,
Bo tu rzut masz dodatkowy.

5

Krosno. Wszystko poszło dobrze,
Lecz się zepsuł most na Odrze,
No, a skoro most zepsuty
Przeczekamy tu dwa rzuty.

6

Kształcą wszystkich nas podróże!
Pięknie jest w Zielonej Górze.
Lecz gdy w mieście niespodzianie
Gracza inny gracz zastanie,
Pierwszy — wraca do Szczecina
I na nowo grę zaczyna,
A drugiemu — ani śni się
Wracać. Drugi jest już w Nysie.

Stop! Legnica. Katastrofa!
Gracz się aż do Słubic cofa.

8

Oto jest Jelenia Góra.
Co za pech! W chodniku dziura!
Noga w kostce jest zwichnięta,
Niech więc biedny gracz pamięta,
Że gdy dawnych sił już nie ma,
Jedną kostką gra, nie dwiema.

9

Wałbrzych. Jeśli masz ochotę,
Mózesz lecieć samolotem,
Który właśnie się wyprawia
Wprost do mety — do Wrocławia.
Co za gratka niespodziana!
Lot się uda! Gra wygrana!

10

Kłódzko. Miasto ładne, czyste.
Kto ma punkty nieparzyste,
Jedzie naprzód, wiedźcie o tym.
Przy parzystych — marsz z powrotem!
Odmierzamy odległości
Zgodnie z tym, co wskażą kości.

11

Nysa. ZMP nas gości.
Tu dwa razy rzucasz kości,
Raz po razie. Masz dwa rzuty.
Oto poczęstunek suty.

12

No, w Opolu jesteś wreszcie!
Niespodziankę masz w tym mieście,
Gra potoczy się inaczej:
Możesz wziąć jednego z graczy
I przerzucić do Szczecina —
Niech na nowo grę zaczyna.

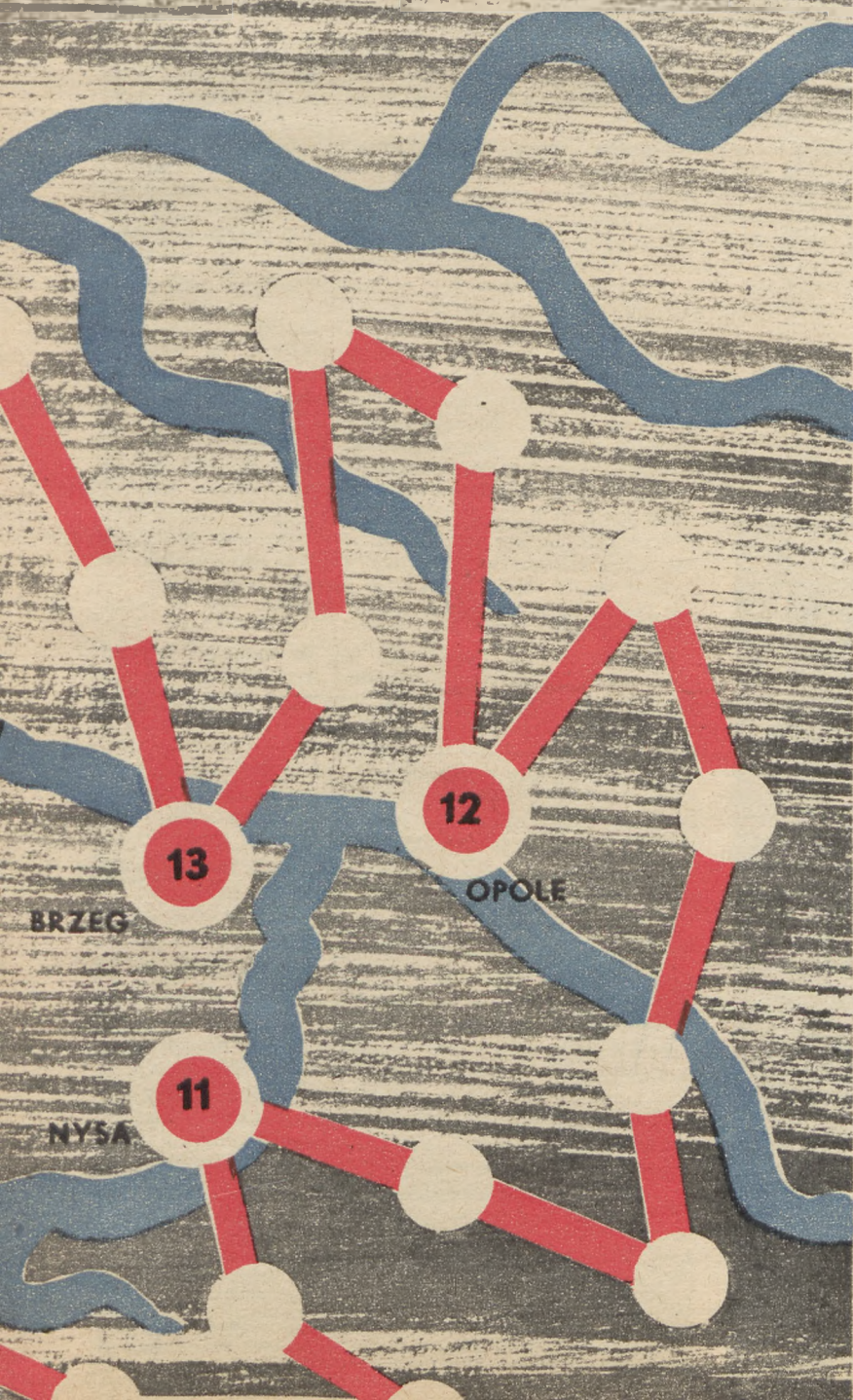
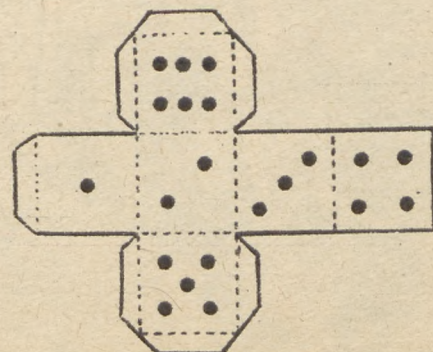
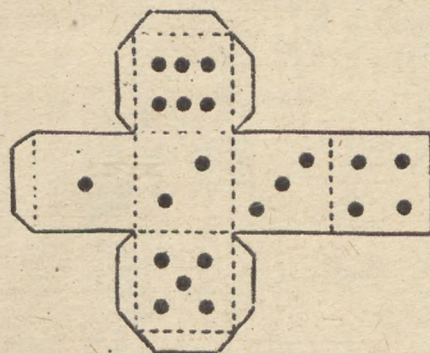
13

Brzeg. Tu, w Brzegu, zobaczycie
Odrę w nowym już korycie.
Gracz przez rzekę się przeprawia,
Już ma blisko do Wrocławia,
Lecz mu zła wypadła dola,
Bo się cofa do Opola.

14

Piękny Wrocław! Niech się wprawia
Kto chce dotrzeć do Wrocławia;
Bo gdy punktów więcej padnie,
Niż powinno być dokładnie,
Żeby wjechać do Wrocławia —
Niech się gracz nie zastanawia,
Lecz z powrotem rusza śmiało
Z liczbą punktów pozostałą.
Gdy utrafi, wtedy wreszcie
Będzie mógł pozostać w mieście;
Fodród była znakomita,
A zwycięzcę Wrocław wita!

PIONKI I KOSTKI DO GRY



WIGILIA

BOŻEGO NARODZENIA

LANGSTON HUGHES

Przełożył: JÓZEF BRODZKI

STOJĄC nad rozpaloną kuchnią, na której gotowała się wigilijna wieczerza, Arcie, kucharka - Murzynka, poczuła ogromne zmęczenie. W przerwie pomiędzy gotowaniem sprzątnęła dzisiaj cały dom „białych”, u których pracowała, śpiesząc się, by zdążyć z robotą przed jutrzejszym świętem. Plecy bolały niemiłosiernie, a głowa opadała ze zmęczenia.

Niedługo będzie już mogła pójść, jeżeli jej pani i dzieci wrócą w czas na kolację do domu. Wszyscy wyszli po zakupy na choinkę, która stała w salonie czekając, aż zapłoną na niej świece.

Arcie też bardzo chciałaby urządzić choinkę swojemu synkowi Joemu. Nigdy jeszcze dotąd nie miał choinki, a przecież to sprawa przyjemności, gdy się jest małymi. Joe miał pięć lat, zaczynał szósty. Pilnując pieczenia w piecu, Arcie zastanawiała się nad tym, ile będzie mogła dzisiaj wydać na zabawki dla swojego synka. Zarabiała siedem dolarów tygodniowo, z tego cztery dolary szły na komorne dla jej gospodyni, która opiekowała się jej synkiem, gdy Arcie była poza domem.

— To nie łatwo wychować dziecko — myślała w duchu.

Spojrzała na zegar w kuchni. Była siódma. Dlaczego ci „biali” są tacy niewyrozumiali? Dlaczego nie przyjdą na czas do domu na kolację? Przecież wiedzą, że i ona chciałaby wyjść, zanim zamkną sklepy. Nie zdąży nic kupić dla Joego, jeżeli się nie pośpieszą. Jej gospodyni też na pewno chce wyjść po sprawunki i nie ma czasu zwracać sobie głowę jej synem.

— Do diabła! — powiedziała Arcie do siebie. — Gdybym przynajmniej miała moje pieniądze, zostawiłabym kolację na kuchni. Ledwie zdąży przed zamknięciem sklepów. — Ale Arcie nie zapłacono jeszcze za ubiegły tydzień. Jej chlebodawczyni obiecała, że zapłaci w Wigilię, o dzień wcześniej, aniżeli jej się należy.

Arcie usłyszała, jak trzasnęły drzwi. Wyszła i zobaczyła swoją panią i dzieci, jak strzepwały śnieg z odzienia.

— Jaka to piękna Wigilia — powiedziało jedno z dzieci do Arcie. — Pada gęsty śnieg, a mamusia przejechała samochodem, chociaż światła były czerwone. Nic nie widać przez ten śnieg. Pięknie jest!

— Kolacja jest gotowa — powiedziała Arcie. Pomyślała teraz o tym, że jej bućki wcale nie nadają się do chodzenia po śniegu.

Wydawało jej się, że ci „biali” tego wieczoru siedzą przy kolacji Bóg wie jak długo. Kiedy Arcie zmywała talerze, przyszła pani z pieniędzmi.

— Arcie — powiedziała pani — bardzo mi przykro, ale dam ci dzisiaj tylko pięć dolarów. Wydałam wszystko, co miałam, na prezenty dla dzieci.

— Wolałabym dostać siedem — odpowiedziała Arcie.

— Bardzo mi są potrzebne.

— Trudno. Nie mam siedmiu — powiedziała jej pani. — Nie wiedziałam, że będziesz chciała dostać pieniądze przed końcem tygodnia.

Arcie wzięła pięć dolarów. Gdy wyszła z gorącej kuchni, otuliła się jak tylko mogła najszczelniej i pobiegła do domu, w którym mieszkała, by zabrać ze sobą Joego. Niech przynajmniej przez okna zobaczy choinki w cudzych domach.

Jej gospodyni, wielka, z lekka żółtawa na twarzy kobieta, była w złym humorze. Powiedziała do Arcie:

— Myślałam, że przyjdziecie wcześniej do domu i zabierzecie dziecko. Przecież wiecie, że i ja też muszę wyjść.

Arcie nic nie odpowiedziała, wiedząc, że gospodyni zaczęłaby zapewne jej wymawiać, że nie dostaje ani grosza za to i musi cały dzień pilnować jej dziecka.

— Chodź, Joe — powiedziała Arcie do swego syna. — Pójdziemy na ulicę.

— Ja słyszałem, że tam w mieście jest święty Mikołaj — powiedział Joe opatulając się w swój zniszczony płaszcz. — Chcę go zobaczyć.

— Nic o tym nie wiem — odpowiedziała mu matka. — Śpiesz się i włoż kalosze. Zaraz zamkną sklepy.

Do miasta było niedaleko — sześć czy osiem bloków mieszkalnych. Z trudem brnęli przez śnieg, czuli zimno — ale śnieg był taki piękny!

Główną ulicę oświetlały czerwone i niebieskie lampy. Przed ratuszem stała wielka choinka, ale prócz świeczek nie było na niej nic. Na wystawach sklepowych ułożono bardzo wiele zabawek — oczywiście do sprzedania.

Joe upominał się ciągle:

— Mamu, ja chcę...

Ale matka nie zatrzymywała się i szła naprzód. Była już blisko dziesiąta, sklepy miały być wkrótce zamknięte, a Arcie chciała kupić Joemu jakieś tanie rękawiczki, jeszcze coś ciepłego i jakąś jedną lub dwie zabawki. Sądziła, że dostanie to w dużym sklepie, gdzie sprzedawano dziecięce rzeczy. Zabawki kupi w sklepie, w którym każdy przedmiot kosztuje 10 centów.

— Patrz! — raz po raz wołał Joe pokazując palcem wystawy sklepowe. Pięknie płonęły światła na ulicy i na wystawach, a uliczne sygnały ślicznie świeciły poprzez padający śnieg.

Arcie wydała przeszło dolara na rękawiczki i inne rzeczy dla Joego. Za 49 centów kupiła duże pudełko cukierków. Trzymając za rękę Joego przepychała się przez uliczny tłum, aż wreszcie doszli do sklepu „Wszystko po 10 centów”. W pobliżu tego sklepu minęli kino. Joe powiedział, że chce pójść do kina.

— Skądże znowu, moje dziecko. To nie jest Baltimore, gdzie są kina dla czarnych. To jest małe miasto, tutaj nie wpuszczają Murzynów do kina. Nie możemy pójść.

— O! — odpowiedział mały Joe.

W sklepie „Wszystko po 10 centów” był ogromny ścisk. Arcie powiedziała Joemu, by zszedł na zewnątrz, aż ona wróci. Za trudno byłoby przecisnąć się w natłoczonym sklepie z dzieckiem — a poza tym nie chciała, by widział, jakie zabawki mu kupuje. Miała to być jutro niespodzianka dla niego od świętego Mikołaja.

Mały Joe stał przy wejściu do sklepu pośród jarzącego się światła, śniegu i mijających go ludzi. Boże Narodzenie to piękne święto! Wszystkie te gwiazdy, i kolorowe bomby, i święty Mikołaj, który skądś przychodzi i przynosi podarunki. Każdy na ulicy niósł jakieś pakunki, a dzieci wyglądały bardzo szczęśliwe.

Ale stanie przed sklepem i rozmyślanie wkrótce zmęczyło Joego. Tyle pięknych rzeczy było do oglądania na innych wystawach. Posunął się kilka kroków wzdłuż domów, później jeszcze parę dalej, przyglądając się wszystkiemu. Szedł, aż wreszcie znalazł się przed kinem, do którego wstęp mieli tylko „biali”.

W hallu kina, za wielkimi szklanymi drzwiami było bardzo pięknie i musiało być bardzo ciepło. Joe stał przyglądając się i nagle jego oczy odnalazły elektryczne gwiazdy i kolorowe girlandy na przepięknej choince. Sporo dzieci i dorosłych — oczywiście sami „biali” — stało dokoła dużego, uśmiechniętego człowieka, przybranego w czerwone szaty. Któż to był ten pan? Mały Joe szeroko otworzył oczy. Ależ nie, to nie był żaden pan, to był święty Mikołaj!

Joe popchnął drzwi i wbiegł do hallu kina przeznaczonego jedynie dla białych. Przecisnął się przez tłum tam, skąd najlepiej widać było świętego Mikołaja, który właśnie rozdawał dzieciom wszelkiego rodzaju podarki: czekoladowe zwierzęta i długie cukierkowe laseczki. Z tyłu za nim widniał wielki napis, Joe nie umiał go przeczytać. Ci, którzy potrafili, dowiadywali się z niego:

„Od świętego Mikołaja dla naszych małych widzów”.

Inny napis biegnący dokoła hallu opiewał:

„Po skończonym przedstawieniu prosimy o zatrzymanie się wraz z dziećmi dla odwiedzenia świętego Mikołaja”.

Jeszcze inny napis głosił:

„Nasze kino przysparza swoim widzom szczęścia — złóżcie wizytę świętemu Mikołajowi”.

Więc to był ten święty Mikołaj w czerwonych szatach, z białą brodą, na której błyszczały płatki śniegu. Dokoła niego pełno było zabawek, bębenków, grzechotek, koni na biegunach, których jednak nie rozdawał. Wiszące obok ogłoszenie objaśniało — niestety, Joe nie mógł i tego przeczytać — że podczas świątecznego przedstawienia te zabawki będą wylosowane pomiędzy posiadaczy szczęśliwych numerów. Tego wieczoru święty Mikołaj rozdaje dzieciom tylko cukierki, czekoladowe zwierzęta i inne słodczyce.

Joe strasznie chciałby dostać taką laseczkę z cukru. Podeszedł bliżej do świętego Mikołaja, aż wreszcie znalazł się na samym froncie. Wtedy święty Mikołaj zauważył go.

Dlaczego „biali”, ilekroć zobaczą murzyńskie dziecko, robią taką złą minę? Święty Mikołaj również nachmurzył się. Wszyscy dokoła patrzali na małego, czarnego Joego spochmurnieli. Co on tu robi w tym kinie przeznaczonym wyłącznie dla „białych”? Wtedy święty Mikołaj zszedł ze swego wzniesienia, wziął do rąk dużą grzechotkę, przeznaczoną do wylosowania, i począł nią obracać tuż przed twarzą Joego. Było to bardzo śmieszne. „Biali” śmiali się głośno — i dorośli, i dzieci, ale mały Joe nie śmiał się. Był przerażony. Grzechotka trzeszczała tuż nad jego uchem. Odwrócił się i szybko wybiegł z ciepłego hallu na ulicę, gdzie w dalszym ciągu padał śnieg i było pełno ludzi. Śmiech „białych” przestraszył go — zaczął płakać. Po chwili począł szukać swojej matki. Nigdy nie przypuszczał, aby święty Mikołaj straszyl dzieci wielką grzechotką, a później śmiał się z nich.

Przephychając się przez tłum uliczny Joe zabłądził. Nie mógł znaleźć sklepu, przy którym miał czekać na powrót matki. Tyle ludzi było dokoła, sami „biali” — jak białe cienie poruszali się na śniegu... Był to świat „białych” ludzi.

Małemu Joemu wydawało się, że upłynęło bardzo dużo czasu, zanim nagle zobaczył Arcie, która z przestachem oglądała się dokoła i wreszcie dostrzegła go i podbiegła. Chociaż ręce miała zajęte pakunkami, potrafiła jednak dać mu mocnego klapsa.

— Dlaczego nie czekałeś tam, gdzie ci kazałam? — głośno zapytała Arcie. — Ledwo się trzymam na nogach ze zmęczenia i musiałam latać po ulicy szukając ciebie. Głupstwo zrobiłam, że wzięłam cię ze sobą.

Po drodze do domu, gdy Joe przyszedł już nieco do siebie, opowiedział matce, że był w hallu kina.

— Ale święty Mikołaj nic mi nie dał — powiedział Joe ze smutkiem. — Przestraszył mnie i uciekłem.

— Dobrze ci tak — powiedziała Arcie brnąc po śniegu. — Nie trzeba było tam chodzić. Powiedziłam ci, że byś stał, gdzie ci kazałam.

— Ale zobaczyłem tam świętego Mikołaja — powiedział mały Joe — no, to wszedłem do środka.

— To wcale nie był święty Mikołaj — tłumaczyła mu Arcie — bo gdyby nim był, to by nie straszyl ciebie. To jest kino dla „białych”, jak ci już powiedziałam, a tamten to taki sobie zwyczajny stary „biały” człowiek.

— O! — zdziwił się mały Joe.

PRZED LOMBARDEM W NOWYM JORKU — 1951 ROK.

Fot.: — Jan Kosidowski



LANGSTON HUGHES, urodzony w roku 1902. Znakomity pisarz murzyński, którego utwory zostały przetłumaczone na wiele języków. Piewca niedoli ludu murzyńskiego, jest uważany przez wszystkich Murzynów na świecie za narodowego pisarza i poety. Rozpowszechnianie dzieł Hughesa napotyka w Ameryce Północnej, a zwłaszcza w stanach zamieszkałych przez Murzynów, na ogromne trudności.



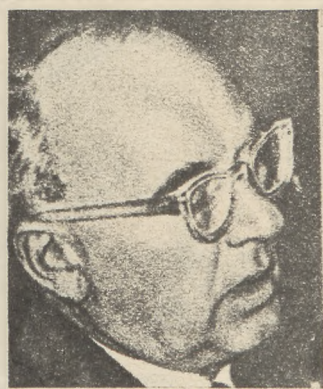
Stary sztach z epoki wojen chłopskich (ok. r. 1525) przedstawia wzięcie do niewoli jednego z feudałów przez rewolucyjnych chłopów, zjednoczonych pod sztandarem „Bundschuh” w walce przeciw uciskowi feudalnemu.



Matka Albrechta Dürera. — Malarstwo jego, to niezmiernie istotny etap w rozwoju realizmu niemieckiego.

TYDZIEŃ POSTĘPOWEJ KULTURY NIEMIECKIEJ

Pierwsze w dziejach demokratyczne państwo niemieckie — NRD — czerpi i udostępnia narodowi niemieckiemu wielkie postępowe tradycje jego sztuki i kultury. Do nich to nawiązują w swej twórczości współcześni przedstawiciele kultury niemieckiej.



Johannes Becher



Anna Seghers



Arnold Zweig



Bertold Brecht



Prof. Albert Norden



Stephan Hermlin

Teatr dla młodzieży w demokratycznym sektorze Berlina wystawił dramat Schillera „Intryga i Miłość”.

Życie teatralne w NRD jest bujne i intensywne. Publiczność oklaskiwała gorąco schillerowskiego „Don Carlosa”, wystawionego w Berlinie przez „Teatr Niemiecki” (Deutsches Theater) w inscenizacji Langhoffa.



HORSZTYŃSKI

Tragedia

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

w Teatrze Polskim w Warszawie odegrana

Reżyser — EDMUND WIERCIŃSKI

Dekoracje i kostiumy —
TERESA ROSZKOWSKA

Osoby:

Horsztyński KAROL ADWENTOWICZ
Salomea ELŻBIETA BARSZCZEWSKA
Hetman Szymon Kossakowski

. JERZY LESZCZYŃSKI
Szczęsny JAN KRECZMAR
Amelia HALINA MIKOŁAJSKA
Ksiądz ALFRED ŁODZIŃSKI
Sfora ALEKSANDER DZWONKOWSKI
Trombonista Z CHMIELEWSKI
Nieznajomy WŁADYSŁAW HAŃCZA
Świętosz EDWARD SZUPELAK-GLIŃSKI
Ojciec Prokop JULIAN SKŁADANEK



3 HETMAN: Za kilka dni wszystko się rozwiąże. Bogdaj tylko syn mój chciał stanąć na czele... Za kilka dni wszystko się rozwiąże...

Oto dążenie Hetmana: postawić na czele targowiczańskich oddziałów Szczęsnego, który ciągle się przed tym broni, walcząc między synowskim posłuszeństwem i sprzecznym z nim obowiązkiem patriotycznym. Poza tym pozostaje jeszcze sprawa Horsztyńskiego, starego, ślepego, z wypalonymi oczami konfederata barskiego, osobistego wroga Hetmana. Poszło kiedyś między nimi o kobietę, pierwszą żonę Kossakowskiego. To Horsztyński jest w istocie ojcem Amelii. Ma on też w posiadaniu papiery kompromitujące Hetmana, będące dowodem jego zdrady.

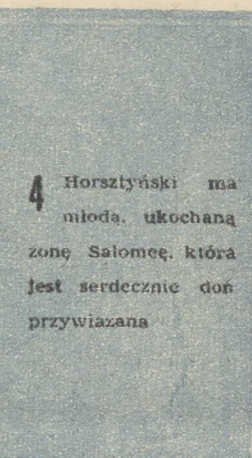


6 SALOMEA: Pan siostrze zawiezie bukiet naszych kwiatów.

SZCZESNY: Moja siostra lubi tylko Belles-de-nuit dlatego, że się po francusku nazywają.

SALOMEA (Zdejmuje z warkocza jedną): Więc niech jej pan ten kwiatek zawiezie...

Ten kwiat rzuci Szczęsny w nurty Wilii na znak, że pragnie zerwać ten stosunek uczuciowy.



4 Horsztyński ma młodą, ukochaną żonę Salomeę, która jest serdecznie doń przywiązana



7 W nocy, w ogrodzie nad Wilią Szczęsny spotyka się z Nieznajomym, który pragnie go wciągnąć do akcji ludu wileńskiego.

NIEZNAJOMY: Czy możemy liczyć na ciebie?

SZCZESNY: Nie.

NIEZNAJOMY: Ale ja ci wręczam, że nasza sprawa pewna.

SZCZESNY: Więc ja wam niepotrzebny.

NIEZNAJOMY: Niepotrzebni są przeciwko nam.

.....

Więc nie chcesz być z nami?

SZCZESNY: Nie chcę... nie mogę.

Tak więc ten syn magnacki cofnął się przed decyzją pójścia z ludem. Tymczasem Hetman działa dalej. Najpierw pragnie załatwić sprawę Horsztyńskiego i wydobąć od niego kompromitujące papiery. Uda się więc do domu starego szlachcica.

8 HORSZTYŃSKI: Pan Hetman ma przyjechać do mnie w odwiedziny...
ŚWIĘTOSZ: Co? Jasnemu wielmożnemu Hetmanowi w naszym domu?
A weźże pan przecież pas złoty...
HORSZTYŃSKI: Nie trzeba, nie trzeba... Słuchaj, nabijesz dubeltówkę i staniesz tam za ścianą w ciemnym kącie. Jeśli zaświszczę barską piosenkę — pal..

Horsztyński chce w ten sposób zabezpieczyć się, gdyby Hetman w ferworze miał go czynnie znieważyć, a on, ślepy, nie mógłby się bronić. Zjawia się Hetman. Dramatyczna rozmowa.



5 On sam jest starym zupełnie zrezygnowanym, nie wierzącym w możliwość odmiany na lepsze.

KSIĄDZ PROKOP: Mówią, że wielka jest niespokojność między wileńskim ludem. Coś nowego gotuje się w garnku.

HORSZTYŃSKI: Nie mów mi o tym, księżo.

KSIĄDZ PROKOP: A gdyby też Wilno powstało...

HORSZTYŃSKI: To mu gromnicami wypalą oczy.

KSIĄDZ PROKOP: Może się uda...

HORSZTYŃSKI: Księżo, nie masz nadziei, że będziemy jedli czerwone renety z mojej szkółki — a spodziewasz się owoców na spróchniałym drzewie... Słyszysz, ktoś nadjeżdża konno...

To nadjeżdża Szczęsny, którego Horsztyński chętnie przyjmuje u siebie w domu i nie widzi, że między nim i Salomeą nawiązała się nść głębszej przyjaźni.

Zdjęcia: COPA



1 SZCZESNY: Piosenki świata zaczynają się od fałszywych akordów — a kończą się gwałtownym zerwaniem strun — stłuczeniem harfy...
AMELIA: Smutny jesteś... zdziwaczałeś...

Rozmawiają brat i siostra. Tylko Szczęsny wie, że w rzeczywistości nie są rodzeństwem. Łączy ich też inny rodzaj uczucia, do których nie chcą się przyznać. To jeden z powodów smutku i rozterki wewnętrznej Szczęsnego. Jest jeszcze inny powód, ważniejszy: niemożność powzięcia decyzji wobec nalegań ojca — Hetmana Szymona Kossakowskiego, którego postępowanie budzi w nim odrazę.

2 HETMAN: Trzeba zająć szewców i krawców wileńskich. Sprowadź tu ze dwadzieścia tych pijaków i każ im żyć w zamku liderię nową dla ludzi.
SFORKA: Jutro poszlę pięć ławek zaprzężonych po tę hołotę.
HETMAN: Wybierać najśmielszych — i najburzliwszych.

Targowiczanin Hetman Kossakowski boi się wileńskich plebejusów, którzy buntują się przeciw zdradzie magnatów i idą razem z Kościuszką. Dlatego wydaje takie polecenie swemu intendentowi Sforce, aby owych najśmielszych i najburzliwszych szewców i krawców wileńskich w ten sposób unieszkodliwić. Ma on jeszcze inne kłopoty.



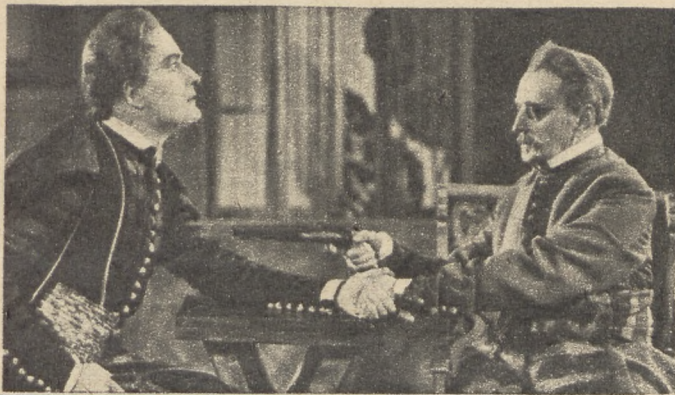


9 HETMAN: Panie Horsztyński, ostatni raz mówię do ciebie: oddaj mi papiery. Spalę je tu na twoim ognisku i będę żył spokojny w moim zamku.

HORSZTYŃSKI: Ale ja nie będę żył spokojnie w mojej chacie. Te papiery są oczyma, którymi patrzę na ciebie, panie mój miłościwy — i spokojny jestem, bo zdaje mi się, że ciebie odrętwilem jak wąż, kiedy z biednej ptaszyny oka nie zwraca.

HETMAN: Podły szlachciuro!

Hetman spostrzega ukrytego Świętosza. Uznaje to za podstępny i haniebną zdradę. Zapowiada, że puści Horsztyńskiego z torbami. Wykupił już wszystkie jego weksle i uzyskał wyrok sądu na odebranie mu majątku. Równocześnie mówi mu o domniemanym romansie Szczęsnego z Salomeą. Jak grom uderza to w Horsztyńskiego. Jest zupełnie złamany. Wzywa listownie Szczęsnego na pojedynek.



10 Ma być pojedynek amerykański. Szczesny z dwóch pistoletów wybiera nie nabitą.

HORSZTYŃSKI: Siadaj pan i daj mi lewą rękę.

SZCZESNY: Strzelajmy.

HORSZTYŃSKI: Jeżeli mnie zabijesz, będziesz synem ojca twojego — jeśli ja ciebie zabiję — będziesz samobójcą.

SZCZESNY: Wiem o tym, strzelajmy.

Horsztyński strzela w ścianę. Szczesny będzie żył dalej. Umrze Horsztyński, zażywając truciznę. Przedtem zęgną się ze światem.



11 HORSZTYŃSKI: Sally... dlaczego ty kłękasz przede mną?... Czuję głowę twoją na moich rękach... Wstań, moje dziecko, i wyjdź na dziedziniec — jak będą żelce wracali z pola śpiewając tę piosenkę, którą ja tak lubię, to każ im wytoczyć na dziedziniec beczkę piwa i daj żniwiarce czerwoną wstążkę. Proszę cię, Sally, niech się chłopcy rozchylają i będą weseli.

SALOMEA: Dobrze, mój Ksawery... Gdybyś wiedział, jak jestem szczęśliwa, kiedy mi dajesz takie polecenia.

Horsztyński zanim umrze postara się, aby papiery kompromitujące Hetmana zostały odpowiednio użyte. Píše też spowiedź przedśmiertną do księdza Prokopa.



12 Ksiądz Prokop pragnie zawiadomić Szczęsnego o wypadkach zasztych w domu Horsztyńskiego, ale nie zastaje go. Zostawia więc wiadomość dla niego u intendenta Sforki. Ten jednak zajęty jest rozwiązywaniem przedziwnych zagadek, w czym ma mu pomagać gruby Trombonista.

SFORKA: Słuchaj... Łatwie do zadania, Ale trudne do rozwiązania Zapytania...

Primo: Dlaczego kij ma dwa końce?

Secundo: Co ja myślę?

TROMBONISTA: Kto myśli, panie Sforka?

SFORKA: Nic. Napisano: Co ja myślę... i basta... i punkt. Ale posłuchaj dalej.

Trombonista słucha, ale coraz mniej rozumie, bo obaj popijają tego wina. A ktoś z dworaków zadrwił ze Sforki, że jeśli odpowie na te i im podobne pytania, to zostanie księciem. Zdziecinniałemu starcowi do reszty pokręciło się w głowie. Potem zwarłował.



13 Tymczasem w zamku coraz większy niepokój. Nadchodzą wieści, że Warszawa powstała. Wilno burzy się coraz bardziej. Hetman wyjeżdża do Wilna. Chce, aby Szczesny stanął na czele szlachty, która zjedzie na zamek, i ruszył jemu na odsiecz. Dopilnowanie tego porucza zaufanemu szlachcicowi Ksińskiemu.

HETMAN: ...Oto mój pierścień — rozumiesz mości panie? Wszyscy ciebie mają słuchać, jak mego małego palca u ręki.

KSIŃSKI: Dumny jestem zaufaniem...

HETMAN: Ale mój syn... Ja chcę, aby mój syn był na czele — rozumiesz?

Ksiński ma swój plan. Zamierza spoleć Szczęsnego, ścignąć na nocną pijatykę przebraną w mundur ułanański dziewczynę wiejską, Marynę, z którą Szczesny prowadził amory, w ten sposób oddziaływać na jego imaginację i skłonić go do porzucenia wahań i objęcia komendy nad szlachtą.



14 Całą noc szlachta bawi się, hula w sali „zegarowej” na zamku. Zjawia się Szczesny. Podniecony ogólną atmosferą decyduje się na swój „czyn”. Siłą swej wymowy pociąga szlachtę, która wiwatuje na jego cześć i podplisuje zobowiązanie do posłuszeństwa. Wprowadzają Marynę w stroju ułanańskim. Szczesny widzi całą śmieszność sytuacji. Wybuch śmiechem:

— Marionetki. Karciane figury. Arlekiны.

Rozpędza szlachtę, która podpisawszy przedtem zobowiązanie, musi mu być posłuszna. Nie idzie na odsiecz ojcu.

15 Po tej nocnej awanturze Szczesny znów wpada w niepewność, a równocześnie w niepokój o ojca. Nie wie co robić. Czym być?... Czym będzie mój ojciec?... Ojciec nie żyje. Tę wieść przynosi Nieznajomy i opowiada o wileńskiej rewolucji.

— Byłem przy Jasińskim. Wtem jakiś stary przedziera się do Jasińskiego i podaje mu plikę papierów... Jasiński kazał podać pochodnię... Nagle słyszę krzyk z tysięcznych ust: „Kossakowski zdrajca... potem... jeszcze okropne słowo...
SZCZESNY: Mów...
NIEZNAJOMY: „Wieszać”.



16 Szczesny jest psychicznie zdruzgotany. Cryni sobie wyrzuty, że mógł uratować ojca, gdyby był poszedł z odsieczą, na którą ten czekał. „Lud wielekły” nadciąga z miasta na zamek. Szczesny zwołuje służbę i każe jej — po rozdaniu całego złota — opuścić zamek. Chce zamek wysadzić w powietrze. I co dalej? Myśli o siostrze Amelii i małym bratku Michaśku.

SZCZESNY: Nie widzę żadnej drogi przed sobą... zdaje się, że chodzę na gzymsach zamku... Ja... i siostra... i to dziecko... dziecko co się modliło dziś jeszcze... Ale co robić?... Powiedz wahająca się myśl, co robić?...

Na tym urywa się tragedia, której zakończenie nie dochowało się wśród rękopisów Słowackiego.





U przyjaciół

BYŁA noc. Rozpostarła się nad niezmiernymi przestrzeniami rosyjskiej ziemi, legła nad Petersburgiem i Moskwą, a nad ukraińskimi równinami zdawała się być niezmierna. Unosiła się lekko nad Paryżem, który jeszcze nie spał, krążyła nad niemieckimi ziemiami, otaczając miasta dopiero co zbudzone ze średniowiecznego snu.

W Pałacu Zimowym spał niespokojnie car Aleksander, budził się co chwila obłany potem, długo przechadzał się po sypialni i nasłuchiwał u drzwi, a gdy mu się już wydało, że odegnał niepokojące go widma, kładł się do łóżka; na próżno jednak oczekiwał snu.

Mickiewicz jeszcze czuwał. Przechadzał się po pokoju, który wynajęli z Franciszkiem Malewskim na Bolsoj Mieszczanskoj, i palił fajkę. Pokój tonął w kłębach dymu. Malewski siedział przy stole, pisał list do matki i siostr.

Daleko stąd, w pskowskiej guberni, w Michajłowskoje, zagubionym w śnieżnej równinie, Puszkina słuchał opowiadań piastunki. Był w dobrym nastroju. Opuściła go melancholia, w którą popadł w pierwszych dniach zesłania.

Tysiące mil na zachód od Michajłowskoje wstał Balzac, ubrany w strój mnisi, obszedł biurko, przeszedł drobnymi króćkami swą klasztorną sień, by przypomnieć kamerdynerowi o kawie.

Starzec Goethe już spał. Sekretarz jego, Riemer, stojąc wysłuchiwał godziny dziesiątej na weimarskim ratuszu, potem sprzątnął ze stołu książki i naciągnął zegar.

W tej chwili była w Rosji północ. Chłopi, poddani jego cesarskiej mocy, głośno chrzapały w swych niechlujnych, brudnych chatkach, oddychając otwartymi ustami. W Paryżu wysiadywano jeszcze w kawiarniach, żartowano, krytykowano rząd i uwodzono kobiety.

— Sanie dla panów Mickiewicza i Malewskiego. Przyśłał mnie sztabkapitan Biestuzew. — Woźnica stoi w drzwiach kręcąc w ręku baranicę i nisko się kłania. Tak kłaniają się na Litwie białoruscy chłopcy rozmawiając ze swym polskim panem — myśli sobie w duchu Mickiewicz — znam dobrze ten gest poniżającej służalczkości; ale sługa Biestuzewa? Woźnica stoi w drzwiach i czeka. Na jego kózku lśnią płatki śniegu, które nie zdążyły jeszcze stopnieć. Adam szybko zarzuca na ramiona płaszcz szeroki, przyjaciel jego jest już gotów.

Od Newy wieje zimny wiatr. Zaśnieżone ulice Petersburga przypominają raczej jakieś miasto zasypane w wawoie niż stolicę. Adam i Malewski wsiadają do wygodnych, krytych san, opatulają nogi kocem, woźnica pociąga lejcam, jada. Mroźny wiatr świszcze, sanie ślizgają się lekko na ubitym śniegu. Jedną po drugiej mijają ulice, huczy wiatr, rozbijały się myśli Adama. Mają za sobą rok niepewności, czekania, śledztwa, deportacji do cesarstwa, przed nimi — ktoś to może wiedzieć? Gdzieś daleko została Litwa. Nowogródek, białe brzoźowe gaje, smutne sosny, Wilno, przyjaciele ze studiów, Tuhanowicz, park ze starymi lipami, opuszczona ławeczka. Piękna zjawia w białej sukni — Maryla. Wieczorne przechadzki po parku. Wiele niedowiedzianych słów. Nie, to już nie jest to ostre ukłucie w serce, które jeszcze do niedawna kierowało każdą myśl w jej stronę; zostały tylko wspomnienia, które już nigdy nie wrócą.

Przerażenie pierwszych tygodni zesłania minęło. W loczatkach pobytu w Petersburgu to granitowe miasto wydawało się im nieprzyjemne i zimne. Nieraz nurtowała Adama myśl, jak ludzie w tym mieście mogą żartować, śmiać się, popijać i żyć bez troski. Później, gdy znaleźli mieszkanie w domu kupca Warwaryna, czuli się już znacznie lepiej. Mieli dach nad głową, skromne, ale wygodne pokoje i przepiękny widok na Newę. W krótkim czasie pojawili się pierwsi przyjaciele, mistyk i fantasta Oleszkiewicz, a także pierwsi Rosjanie: Rylejew, Biestuzew, młody Odojewski, Bułharin, Senkowski, Gribojedow i wielu innych. Dzisiaj się z nimi spotka. Jest to ostatni dzień roku, wieczór sylwestrowy, wieczór i noc, gdy ludzie żegnają rok stary, wspominając to wszystko, co przeżyli, oczekując zaś od nowego pomyślnych zmian.

U Aleksandra Biestuzewa jest dziś gwarno i wesoło. Kondratij Fiodorowicz Rylejew, sekretarz towarzystwa rosyjsko-amerykańskiego, elegancki młody człowiek o śniadej cerze i wypukłych kościach policzkowych, jeden z najbardziej wpływowych członków „Związku Północnego“, siedzi przy kominku z Gribojedowem i Bułharinem. Z niecierpliwością oczekuje księcia Golicyna. Dziś bowiem ma się rozstrzygnąć, czy książę wstąpi w szeregi spiskowców. Tak, potrzebni są im ludzie z arystokracji. Mają już wpływ w wojsku, mogą polegać na wielu oficerach, ale potrzebują i światłych umysłów, rozważnych głów, statystów. Takim właśnie człowiekiem jest Golicyn.

Mickiewicz i Malewskiego przywitano jak swoich. Nie są sobie obcy, z większością obecnych spotykał się już Adam nieraz. Rylejew serdecznie ściska i wita polskiego poetę, pozwala mu zaledwie przywitać się z resztą towarzystwa, odprowadza na bok, chce go mieć wyłącznie dla siebie. Wspomina swój pobyt na Litwie, pyta, czy nie ma wiadomości od Niemcewicza; wszystko chciałby wiedzieć, wszystko go interesuje. Wszedł Golicyn. Rylejew przeprosza Adama, podchodzi do księcia i odprowadza go do bocznego pokoju.

— Po raz pierwszy spotkaliśmy się, drogi książę, w 14 roku w Paryżu. Służył pan wtedy, o ile dobrze pamiętam, w Preobrażeńskim pułku.

— Tak — Golicyn przytakuje skinieniem głowy — a później widzieliśmy się kilkakrotnie w loży „Płomienista Gwiazda“.

— Przypominam sobie. Przystąpmy jednak do innych spraw. — Książę zapala fajkę, następnie mówi cichym, ale wyraźnym głosem: — Zna pan moje zamiary. Pragnę wstąpić do związku. — Przez otwarte drzwi widzi wzruszone twarze przyjaciół. Widzi Odojewskiego, który rozmawia z Mickiewiczem, widzi Gribojedowa, który siedzi przy fortepianie i wertuje nuty.

— Czy oni wszyscy są członkami związku?

— Nie wszyscy — odpowiada Rylejew. — Ale należą do wtajemniczonych. Również i przyjaciele Polacy. Są to prawie nasi ludzie.

— A więc proszę mi powiedzieć, czy mam składać przysięgę, czy złożyć przyrzeczenie?

— Ależ nie — śmiejąc się odpowiada Rylejew. — W lożach wolnomularskich bawiliśmy się maskami, przysięgami, tajemniczością. Było to bardzo romantyczne. Bawił się w to i car Aleksander, wtedy tak wolnomysłny, a dziś tak despotyczny. Zna pan nasze cele, wie pan,



Gribojedow - Odojewski — Mickiewicz

BOHUSZ BALAJKA

Tłum. CZESŁAW SOJECKI

Ilustr. IGNACY WITZ

Dr Bohusz Balajka, młody czeski historyk literatury i krytyk, studiował polonistykę na Uniwersytecie Karola w Pradze pod kierunkiem profesora Szyjrowskiego.

Pierwszą swoją popularną pracę monograficzną o Sienkiewiczach napisał w roku 1947. W roku 1950 wychodził jego praca naukowa poświęcona Mickiewiczowi. Obecnie przystąpił do napisania powieści monograficznej o Mickiewiczach, z której to wyjątek drukujemy.

Niezależnie od oryginalnych prac literackich Bohusz Balajka zajmuje się tłumaczeniami. Przetłumaczył na język czeski zbiór opowiadań J. Pytlakowskiego pt. „Wielki cień“ oraz szereg drobnych utworów literackich.

że dążymy do zlikwidowania tyranii carskiej. Jestem pewny, że myśli pan podobnie jak my...

— Ustawili nas w szeregu — opowiada Mickiewicz Odojewskiemu i Gribojedowowi o przyjęciu polskich wygnańców u ministra oświaty Szyszkowa. — Szedł wzdłuż szeregu, przepasany szeroką szarfą, towarzyszył mu jego sekretarz, który czytał z listy nasze nazwiska. Zatrzymał się przy mnie i pyta: „Powiedziano mi, że jest pan poetą. Ja także jestem poetą. Pisz pan bajki, jak nasz czcigodny Iwan Andrejewicz Kryłow, czy sielanki?“ Odpowiedziałem mu, że piszę sielanki oraz opowiadania w stylu wielkiego Karamzina. Skinął głową zadowolony i dodał coś o niezdrowym prądzie, nurtującym współczesną literaturę zarażoną duchem rewolucyjnym i jakobińskim. Przed tym mnie ostrzega. Sądzi, że to, co się stało w Wilnie, było tylko nierozwagą; myśli, że nie jestem tak skażony jak ten ateista Puszkina.

— To się udało — śmieje się Gribojedow. — Osobliwe spotkanie. Nam ono jednak zaszczytu nie przynosi. Pana, rewolucyjnego poetę, wygnańca politycznego i przedstawiciela romantycznego kierunku w poezji polskiej, przyjmuje zaciekle konserwatysta i wróg postępu. Nie więc dziwnego, że ministerstwo oświaty dawno już ustami ludu przemianowano na ministerstwo ciemnoty narodowej.

— Niestety — Mickiewicz ostrożnie ogląda się wokół siebie nie bardzo dowierając Bułharinowi, jakkolwiek rozciska on, że jest właściwie Polakiem. — Takich ludzi jak Szyszkow jest znacznie więcej, chociaż zdawałoby się, że należą do przeszłości.

Bułharin jest bardzo zadowolony, nakład pism redagowanych przez niego wzrasta coraz bardziej. Wkrótce zaś wyjdzie pierwszy numer nowego almanachu „Rosyjska Talia“, w którym chce wydrukować wyjątek z „Mądremu biada“ Gribojedowa. Współpraca z młodymi autorami układa się dobrze. W ogóle powodzi mu się wspaniale. Czując, że przybywa mu na wadze, kupił sobie nowy surdut. Wydaje mu się, że wygląda w nim interesująco.

— Chętnie — zwraca się do Biestuzewa — stykam się z młodymi ludźmi. W młodych jest, powiedziałbym, zawsze coś żywiołowego. Tutaj jestem...

— Nic innego, jak tylko szlachecka opozycja — mówi swym spokojnym, prawie monotonnym głosem Gribojedow. — To, co się obecnie dzieje w Rosji, można zaobserwować i w innych krajach. Od czasu świętego przymierza zapanowała prawie we wszystkich krajach najczarniejsza reakcja, a teraz podnosi się przeciwko niej opozycja. Na Zachodzie wywodzi się ona z warstw mieszczańskich, a u nas z warstw szlacheckich. Przedstawicielami tej opozycji jesteście właśnie wy.

— Chcesz powiedzieć — krzyczy młody popędliwy Odojewski, który od dłuższego czasu kłóci się z Gribojedowem, a trzeźwy sąd poety drażni go jeszcze bardziej — chcesz powiedzieć, że ta opozycja zrodziła się tylko dlatego, że szlachta czuje się odsunięta, że jej klasowy egoizm został dotknięty? Czyżby tylko dlatego? A cóż ja, albo Rylejew i Biestuzew, czy my należymy do szlachty? Czyż nie jesteśmy bliżej ludu niż arystokracji?

— Nie, do ludu macie jeszcze daleko. — Gribojedow jest chłodny i surowy. — To, że nie jesteście bogaci, nie jeszcze nie znaczy. Jesteście pośrodku między arystokracją a ludem. Od panów odłączyliście się, ale do ludu jeszcze nie zbliżyliście się. Lud za wami nie idzie. — Lud jest ciemny.

— Może masz słuszość — uśmiecha się suchymi, wąskimi wargami Gribojedow. — Może masz słuszość, a może nie. Ale jeśli lud jest ciemny, to nie jego wina. Raczej wasza...

Samowar szumi, pachnie herbata, pokój jest pełen dymu. Rozmowa staje się coraz żywsza, dyskusja namiętniejsza. Bułharin z próżnym kieliszkiem w ręce przechodzi od jednej grupy do drugiej.

— Panie Mickiewicz, co słychać w Polsce? Co robią młodzi literaci? Ja zawsze rozumiem młodych, dlatego, że młodzi są, powiedziałbym...

Ale Adam słyszy tylko trzeźwy głos Gribojedowa i namiętne odpowiedzi Odojewskiego.

FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

„FABRYKA” ZDROWYCH LUDZI



Pierwsze ćwiczenia rąk na warsztatach tkackich były trudne i męczące. Dziś idą już o wiele łatwiej i sprawniej.

Przy warsztatach tkackich i stolarskich, przy tokarkach i długich stołach siedzą kobiety i mężczyźni, młodzież i dorośli. Sale w niczym jednak nie przypominają hal fabrycznych, obsługujących warsztaty na pewno nie są robotnikami, zakład zaś nie produkuje żadnych wyrobów przemysłowych.

Zakład ten — to klinika ortopedyczna im. K. Marcinkowskiego w Poznaniu, która po wieloletnich obserwacjach i doświadczeniach wprowadziła nowy system leczenia, tzn. terapię zajęciową. Polega ona na specjalnej, stop-

niowo stosowanej gimnastyce, która po doznanych urazach i przebytych chorobach czy operacjach ćwiczy mięśnie, stawy, ścięgna, przywraca swobodę ruchów kończyn i powoli przygotowuje je do wykonywania normalnej pracy. Do tego właśnie służą znajdujące się w klinice liczne warsztaty. Jedne z nich wyrabiają mięśnie dionii i rąk, inne — ćwiczą stopy i nogi, jeszcze inne rozwijają mięśnie klatki piersiowej i grzbietu.

Terapie zajęciową stosuje się stopniowo i bardzo ostrożnie, zaczynając od pracy lekkiej i nieskomplikowanej, jak np. przewijanie wełny, roboty na drutach, szydełkowanie, ręczne malowanie lub pisanie na maszynie. Leczenie uzupełnia gimnastyka całego ciała na specjalnych przyrządach oraz pływanie w przeznaczonym na ten cel basenie klinicznym.

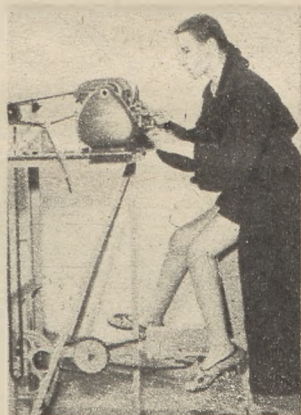
Wszystkie te zajęcia odbywają się pod opieką i kierunkiem lekarza.

Nowy system leczenia spełnia ponadto jeszcze jedno ważne zadanie: chorzy ćwicząc na warsztatach, nie tylko usuwają swe kalectwo, ale zdobywają zawód, w którym mogą pracować po wyzdrowieniu. Spółdzielnie Inwalidów mają obowiązek zatrudniać wszystkich opuszczających tego rodzaju kliniki i zakłady.

Andrzej Zboron, Poznań



Malowanie to jeden ze sposobów ćwiczenia mięśni dionii



Przy pomocy tej tokarki ćwiczą pacjenci stawy kolanowe.

...Dniem i nocą w położonej u stóp Nosala osadzie „Hamery” — młoty kruszące rudę żelazną — huczą bez chwili spoczynku. Poruszają je drewniane koła, na których skrzydła spada z szumem warki, tatrzański potok...

Tak zaczęlibyśmy osiemdziesiąt lat temu reportaż pod tytułem: „W Tatrach huczą młoty”, oczywiście, gdyby wychodził wówczas tygodnik „Świat”.

Zapytacie — skąd brała się

zwanych Hutami Hamerskiemi.

W pierwszej ćwierci XIX wieku rząd austriacki odstąpił wszystkie dobra hamerskie prywatnym właścicielom. Następuje teraz znaczne ożywienie, gdyż posiadacze hamerni, rodziny Homolaczyków i baronów Borowskich — eksploatują, co się tylko da. Od roku 1880 górnictwo i hutnictwo w Tatrach jest już zdewastowane i powoli zamiera.



Ogólny widok zabudowań hutniczych w Kuźnicach

ruda, którą przetapiano w kuźniczkach piecach? Wydobywano ją głównie w Kopie Magury, między Doliną Jaworzynki (gdzie również kopano rudę) a Halą Gąsienicową. Kopalnia w Magurze liczyła 8 sztolni, dostarczających rudę, z której wytapiano kilka tysięcy cetnarów surowki rocznej.

Co mówi nam legenda i historia o górnictwie w Dolinie Kościeliskiej?

Za króla Aleksandra Jagiełły w roku 1502 odkryto w Tatrach srebro. Legenda głosi, że za panowania króla Zygmunta Starego wypłukiwano w potoku, płynącym Doliną Kościeliską, złoty piasek. Wypłukiwaczem miał królewski młynarz w tzw. Złotym Młynie, stojącym za Halą Pisaną. Królewskiego młynarza zabili zbójnicy, a w miejscu, gdzie miał być pochowany, leżał kamień młyński. Bawiący w Tatrach Wincenty Pol wstawił weń krzyż, znany dziś w Dol. Kościeliskiej pod nazwą „Krzyż Pola” (stoi po prawej stronie drogi, wiodącej do schroniska na Hali Ornak). Od czasów króla Aleksandra Jagiełły kopalnie tatrzańskie były nieczynne. Pracę w nich wznowił dopiero król Zygmunt Stary.

Po zajęciu Galicji przez Austrię, z polecenia władz cesarskich zbadal stan górnictwa w Tatrach hr. Ybarra. Odnawiono dawne kopalnie miedzi i srebra na Ornaku i wystawiono hutę żelaza w Kuźnicach Zakopiańskich.

W Dolinie Kościeliskiej — dokąd dojdziemy z Kuźnic drogą pod regłami, zwaną dawniej Żelazną Drogą (wózono wtedy rudę żelazną) — obejrzeć możemy stare lipy. Skąd się w Tatrach wzięły te mieszkanki dolin? Niewątpliwie posadzili je tu górnicy; może ze względu na lekarstwo, jakim jest kwiat lipowy, w każdym razie są one żywą pamiątką po mieszkających tu starych hawiarzach. Drugą pamiątką jest stojąca tam do dnia dzisiejszego kaplica górnicza. Do r. 1848 umieszczony był pod jej kopułą znak górnictwa — dwa skrzyżowane młoty. Natrafiamy teraz na źródło Łodowe, którego woda rozplywa się w trzy różne strony. Tajemnicę źródłowego strumienia zdradzają nam resztki koryta wodnego, poprowadzonego w kierunku, gdzie widnieją stare fundamenty po młocie kruszącym rudę albo przetwarzającym kuźniczą surowkę na żelazo kute. Drugi strumień płynie w kierunku całkiem jeszcze wyraźnych miejsc po domkach, które tworzyły osadę górnicza. Widzimy kwadraty kamiennych fundamentów, położonych jeden obok drugiego. Był to więc strumień zasilający wodą osadę górnicza. Trzeci strumień był również sztucznie poprowadzony i zasilał wodą piec wapienny, do którego surowca dostarczała wznosząca się nie opodal wapienna ściana.

Jeszcze jednym pozostałym śladem po osadzie górnicznej



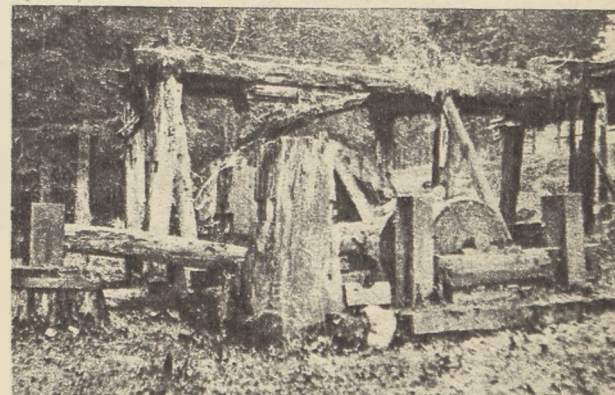
Dawna walcownia i młot Anny (zdjęcie z roku 1880)

w Starych Kościeliskach jest budynek cały z kamienia, posiadający sklepiony parter. Mieszkają obecnie w nim robotnicy-górnicy, pracujący przy jaskiniach.

Huta zakopiańska w Kuźnicach posiadała przypuszczalnie nawet własny znak fabryczny. Pieczęć Zakopanego, której odbitka pochodzi prawdopodobnie z roku 1805,

przedstawia godła hutnicze: łańcuch podtrzymujący sztabę żelazną nad wgłębieniem, wypełnionym żarem, i hutnicze cegły. Rysunek tej pieczęci Zakopanego najprawdopodobniej wzięty był właśnie z tatrzańskiego znaku hutniczego.

Wojciech Jarzębowski, Zakopane
Zdjęcia: St. Zwioliński



Młot starej „hamerni” (zdjęcie z 1906 roku)

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

NADAWANIE POŁYSKU

W braku elektrycznej suszarki i specjalnych płyt chromowych możemy nadać połysk naszym fotografiom przez suszenie ich na płytach szklanych. Muszą to być oczywiście powiększenia czy styki wykonane na papierze białym. Papiery takie, wyrabiane przez „Film Polski”, oznaczone są cyframi „111 K” (karton) lub „111 C” (cienki).

Po utrwaleniu papieru płuczemy przez godzinę w wodzie bieżącej lub stojącej, zmieniając co 5 minut. Do ostatniej wody płuczkowej dodajemy tyżkę octu, co ma na celu usunięcie z wody związków wapiennych, powodujących później matowe kropki na papierze.

Mokre fotografie kładziemy na tafli szklanej emulsją do szkła i przez płótno lub arkusze papieru gumowym walcem mocno wyciskamy wodę, a jednocześnie przyciskamy zdjęcie do szkła. Szczególnie starannie usuwamy wszystkie pęcherze powietrza z przestrzeni między emulsją a szkłem. Płytę stawiamy w ciepłym miejscu i czekamy, aż fotografie same odskoczą od szkła.

Tafle szklaną każdorazowo czyścimy dokładnie ścierką, a następnie powlekamy następującym roztworem: 60 g sproszkowanego węgla wapienia, 85 cm amoniaku, 200 cm wody. Po zupełnym wyschnięciu płytę czystą ściereczką, zmywamy spirytusem denaturowym i przecieramy talkiem.

Jeśli po całkowitym wyschnięciu fotografie same nie odskokują od szkła, podważamy rozek papierów nożem i równomiernym ruchem odrywamy. Przerwy w tym ruchu spowodują smugi. Możemy też zanurzyć płytę wraz ze zdjęciami na godzinę do wody, zdjęcie odejdzie wówczas z łatwością, ale za błęd, po starannym oczyszczeniu tafli, musimy ponowić.

Po płukaniu dobrze jest również fotografie zagarnować kąpielą przez 10 minut w 5-procentowym roztworze formaliny. Niektóre podręczniki zalecają również dla uzyskania wysokiego połysku nacieranie płyt szklanych 1-procentowym roztworem wosku w olejku terpentynowym. Fachowa literatura niemiecka podaje następujący przepis: po płukaniu papieru zagarnowanego formaliną kąpie się przez minutę w rzadkim roztworze preparatu żółci wołowej. Roztworem tym, sporządzonym w proporcji 1 kropla preparatu na 9 kropli wody (odmierzać pipetką), naciera się też oczyszczoną poprzednio tafle szklaną.

ODPOWIEDZI

St. Gęgotek. Osiedle Juliusz — Do zdjęć przedmiotów z bliska o niewielkich rozmiarach, które na negatywie chcemy uzyskać w skali 1:1, 1:2 czy 1:3, używamy pierścieni pośrednich, które wkładamy między obiektyw a kadłub aparatu. Stanowią one jakby wyciągnięty mieszek skórzany, przedłużając nam odległość obrazu. Do zdjęć w mniejszej skali radzimy nabyć soczewkę skupiającą 3 dioptrie. Odległość fotografowanego przedmiotu należy wyskalować na matówce.

Z książek traktujących obszerniej o chemii fotograficznej polecamy A. Lewandowskiego „Fotorecepty” (Wilak, Poznań, 1947), R. Niemczyńskiego „Fotograf-praktyk” (Biuro Wyd. Zw. Izd. Rzemieśln., Warszawa 1950), Eug. Szmidtgała „Materiały fotograficzne i ich obróbka” („Czytelnik” W-wa, 1948).

STARE JASŁO — NOWOCZESNYM MIASTEM

Dzięki kredytom państwa i SFOS, który w pierwszych latach na odbudowę Jasła przeznaczył połowę wpływów z całego województwa rzeszowskiego, miasto to, zniszczone w czasie wojny niemal doszczętnie, jest już odbudowane w 60%.

W końcu 1952 r. posiadała całkowicie odbudowanych 643 budynków mieszkalnych (3025 izb), 8 szkół i kilkadziesiąt gmachów użyteczności publicznej.

Przy ul. Słowackiego, gdzie w najbliższych latach powstanie piękna, zupełnie nowa dzielnica mieszkaniowa — stoją już pierwsze 3-piętrowe bloki i hotel miejski. Cały teren, na którym rozciąga się miasto, będzie skanalizowany; w chwili obecnej prowadzone są roboty przy budowie wodociągów i regulacji rzeki Jasłoki, Wisłoki i Ropy.

W związku z uprzemysłowieniem okręgu rzeszowskiego w Jasle zbudowany będzie

nowy dworzec kolejowy, lepiej odpowiadający potrzebom i zadaniom szybko rozwijającego się powiatu, gdzie również wiele się zmieniło. Przede wszystkim odremontowano wszystkie szkoły stare i wybudowano 24 nowe. Nowe drogi bite i nowy most, łączący 13 gromad powiatu, spełniły wieloletnie marzenia ludności o dogodnej komunikacji.

Władysław Foltis, Jasło
Fot. G. K. Russ



Takich gmachów nie miało Jasło przed wojną.



Odbudowana część miasta obok spalonego dworca kolejowego.



Fot.: WŁADYSŁAW SŁAWNY

Przed 42 laty pewien zapalony taternik zapisał w swym notatniku: „Nasza kochana ziemia jest przecież najpiękniejsza wtedy, gdy się ją ogląda z wysoka. Ale tęsknota za jej pięknnością nie jest jedynym motywem, który nas pędzi w góry, bo alpinista wdiera się w ciężkim nieraz trudzie na szczyty, chociaż nie nęci go taka nagroda. Czyni to z tego samego popędu, który popycha jeźdźca do ujarznienia dzikiego konia, pływaka do przepłynięcia na drugi brzeg rwącej rzeki, myśliwca do stoczenia walki z drapieżnym zwierzęciem... Są ludzie, w których na widok gór wyzwala się uczucie bezsilności. Małeńcy i bezradni stajemy przed dziełem pradawnych potęg. Bezsilne karły — uczymy się poznawać naszą marność. Cóż znaczą dzieła ludzkie wobec tego mnóstwa kamieni? Schyl się pokornie z prochu zrodzony

człowiecze. Inne natomiast uczucia budzą się na widok gór w tych ludziach, którym przypadło w udziale zdobywanie szczytów. Jest to rozkosz walki w najwznioślejszym znaczeniu tych słów. Zjawia się stara, prometejska żądza potęgi. — „Niebotyczne góry"... Postawię stopę na ich wierzchołku! — „Otchłanne gardziele"... Dotrę do ich dna! — „Pionowe ściany" ...Wedrę się na nie! — I to pragnienie wciela się w czyn. Im większe w swym ogromie stają przed człowiekiem przeszkody, z tym większym uporem działa wola. Cóż może być wspanialszego, niż drwić sobie z niebezpieczeństwa i torować silną dłońią drogi do świata cudów — na przekór wszelkim potęgom?" Taternika, który napisał te słowa, nie ma już między nami. Był to Julian Marchlewski.

Notatnik zapaleńca

POWIEŚĆ DLA SPORTOWCÓW

JESZCZE nie wysechł atrament na piórze zapaleńca. A już stało się tak, jak to beztrako przewidywaliśmy: amerykańskie dzienniki rozpoczęły kampanię o usunięciu piłki nożnej z igrzysk olimpijskich 1956 r. w Melbourne. Piłka nożna nie należy do sportów popularnych w Australii — rozumują (proszę mi wybaczyć to słowo!) wspomniane dzienniki — o wiele popularniejsze jest tam rugby, a więc należy tym razem zastąpić turniej piłkarski turniejem rugby. Rzeczywiście nie da się zaprzeczyć, że rugby jest sportem bardziej atrakcyjnym: takich malowniczych sytuacji, jakie tworzą się przy tej grze, piłka nożna nie zna. I co za chwyty! „Chwytaj jak możesz!” Zapewne z dziedziny rugby pochodzi i ten ostatni chwyt amerykańskich dzienników.

Nie trzeba nas przekonywać, że sport w Australii wygląda nieco inaczej niż u nas. Nie wierzymy już wprawdzie, jak czyniliśmy to w dzieciństwie, że ludzie na antypodach chodzą do góry nogami, ale kto wie... Dla rozszerzenia wiadomości o Australii polecam książkę Franka Hardy'ego pt. „Potęga bez chwały” (przekład — szkoda, że zły — Z. Jabłonowskiej), napisaną przez Australijczyka dla Australijczyków, świadectwo rzetelne, z pierwszej ręki.

Rzecz dzieje się w Melbourne, a więc w mieście przyszłej Olimpiady.

Powieść opisuje drogę życiową australijskiego przedsiębiorcy sportowego, Johna Westa. Hazard jest namiętnością Australijczyków i na nim buduje swą fortunę West. Wszystko mu jedno: kto z kim się ściga, byle się ścigał, totalizator (nielegalny) pracował, padały premie, wzrastał dochód. Karierę swą zaczyna West od oszukiwania sprawek przy... wyścigach gołębi. Następnie prowadzi nielegalnego totalizatora przy wyścigach konnych, wreszcie zajmuje się wszystkim, czym się da: kolarstwem, boksem, zapasnictwem. Do wykonywania nielegalnego procederu trzeba było kupić policję — West kupuje policję. „Kto ma pieniądze, spryt, władzę, może nie bać się ani policji, ani sądu. Talent, sławę i wpływy można kupić” — mówi milioner West i widzimy go przy pracy: finansuje kandydatów Labour Party, wprowadza w jej szeregi swoich agentów, przekupuje przywódców związkowych, prasę, ministrów, dyktuje uchwały w Parlamencie, na jego usługach są australijscy dostojnicy australijskiego episkopatu. Staje się prawdziwym, chociaż nieraz kryjącym się w cieniu (jego przeszłość jest jednak zbyt skandaliczna) władcą Australii.

Naturalnie, w dążeniu do potęgi nie przebiera w środkach. „Trup pada gęsto” — jak mówi Sienkiewicz. Hardy opisuje drobniaczko kilkanaście machlojek i afer swego bohatera. West, ten dyktator sportu, nie mający pojęcia czym jest właściwie sport, prowadzi również „stajnię bokserską”. W okresie pierwszej wojny światowej, jako zawzięty militarysta (interesy jego były związane z interesami Anglii), chciał zmusić utalentowanego boksera Lou Darby do wstąpienia do ochotniczej armii australijskiej. Darby nie miał ochoty umrzeć ani za Anglię, ani za Westa. Ale w Australii ringi były dla niego niedostępne. Wyjechał do Ameryki. West porozumiał się wówczas z Texem Rickardem, słynnym amerykańskim managerem (autentyczne nazwisko!) i uniemożliwił Darby'emu występy w Ameryce. Zrozpaczony bokser, niewątpliwie kandydat na mistrza świata, popełnił samobójstwo.

Nie dziwny się, kiedy różni panowie Westowie zechcą nas pouczać, czym jest sport. Naturalnie, wiemy doskonale, czym jest dla nich: żylą złotą. Ze splamionego ludzką krwią, świadczy książka Franka Hardy'ego. Historia wydania i kolportażu tej powieści — bo łatwo się domyślić, że jej treść doprowadziła władców Australii do białej gorączki — godna jest specjalnej epopei. Należałoby tu jednak dodać, że książka ta jest prawdziwym przekrojem przez dzieje Australii z lat 1890—1946. Mówi dużo o ruchu robotniczym, wyjaśnia nam — wyłącznie poprzez akcję — jego siłę i słabość. Postacie fikcyjne występują tu obok autentycznych. Są to postacie przywódców robotniczych, np. Toma Manna i Blackwella, ministrów (Menzies) i sportowców: Burnsa, Jacka Johnsa, wspomnianego Rickarda. Nawet niektóre konie są autentyczne! Znajdujemy się w kraju hazardu...

Znakomitą uzupełnieniem powieści Hardy'ego jest książka Egona Erwina Kisch „Wylądowałem w Australii”. Czyta się ją jednym tchem i gdyby był redaktorem jakiegoś dziennika, drukowałbym ją w odcinku, z dnia na dzień. W tej chwili przypomniałem sobie, że w książce Hardy'ego Kisch występuje jako jedna z osób działających. Okazuje się, że „życie jest romansem”, wbrew przysłowiu.

Przyjemnej lektury, zapaleńcy!

Stugłowa hydra niemieckiego imperializmu odradza się w tempie, które zaskoczyło nawet tych, co ją tak troskliwie wypielegnowali: amerykańskich kapitalistów. Tygodnik „US News and World Report”, zbliżony do kół finansjery z Wall Street, ogłasza w numerze z dnia 30 października 1953 roku alarmujący artykuł na temat ekspansji handlowej i politycznej Niemiec zachodnich na terenach, które dotąd stanowiły domenę amerykańsko-angielską.

„NIEMIECKI HANDEL PRZE NA WSCHÓD”

głosi tytuł tego artykułu.

Stany Zjednoczone i Wielka Brytania przegrywają od Kairu do Teheranu — woła podtytuł.

„Niemcy wyprzedzają nas w dziedzinie handlu i wpływów na Bliskim Wschodzie — pisał tygodnik. — Stany Zjednoczone i Wielka Brytania, niegdyś przodujące, pozostają w tyle. Niemcy szkolą arabskie armie, zagarniają kontrakty handlowe, nasyłają doradców dla tamtejszych rządów, szukają ropy naftowej... Niemcy są groźnym konkurentem na granicy”.

„W osiem lat po klęsce Niemcy wypierają Wielką Brytanię i rzucają wyzwanie Stanom Zjednoczonym na Bliskim Wschodzie”.

Wymowna tablica podsumowuje skutki tej konkurencji: „TURCJA: Niemcy sprzedają więcej niż Amerykanie i Anglicy, zajęli czołowe miejsce w handlu tureckim.

SYRIA: Niemcy szkolą syryjską armię, zawiadują finansami, są doradcami syryjskiego dyktatora.

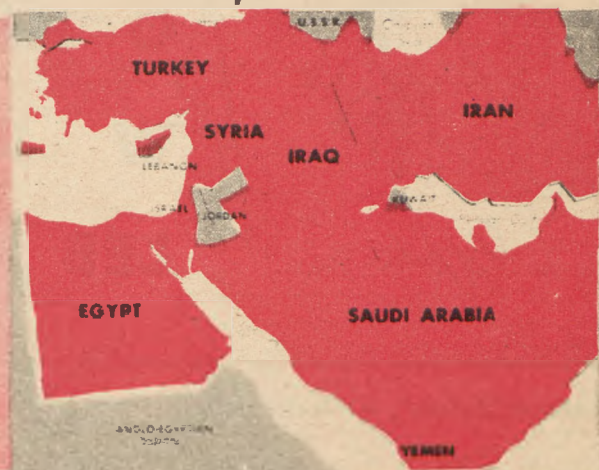
„PRECZ Z MCCARTHYM”

Podwórzec uniwersytecki w Toronto (Kanada) huczał od okrzyków: „Precz z McCarthyem!”, „Na szubienicę go!”. Tłum studentów, poprzebieanych w białe płaszcze i kaptury Ku-Klux-Klanu, przemarszerował między gmachami uczelni, niosąc wielką kukłę amerykańskiego senatora-faszysty. Zgromadzeni studenci radośnie oklaskami witali demonstrantów. Pochód dotarł do wzniesionego na poczekaniu szafotu, po czym kukłę amerykańskiego hitlerka zawieszono na miniaturowej szubienicy i podpalamo. Studenci kanadyjscy manifestowali swą pogardę i nienawiść do inkwizytorskich metod dławienia wolności



MIDDLE EAST: Where Germany Makes a Comeback

TURKEY: Germans outbid American Britons, take top spot in Turkey's trade.
SYRIA: Germans train Syria's Army, manage its finances, advise its dictator.
IRAQ: Germans outbid British for oil contracts. German sales to Iraq doubled.
LEBANON: German radios, typewriters, other goods flood Lebanese markets.
SAUDI ARABIA: Germans negotiate for contracts held by Americans.
IRAN: Germans capture top spot in Iran's trade from Britain, Russia.
ISRAEL: Germans settle war-reparations squabble, open way for trade.
EGYPT: Germans train Egypt's Army, replace British engineers, technicians.
YEMEN: German deal with Yemen upsets Anglo-American oilmen in Middle East.



IRAK: Niemcy przesłitywali Anglików przy zawieraniu kontraktów na budowę tam. Niemiecki eksport do Iraku podwoił się.

LIBAN: Niemieckie radioodbiorniki, maszyny do pisania i inne towary zalewają libańskie rynki.

ARABIA SAUDYJSKA: Niemcy rzucają o zawarcie kontraktów, które dotychczas należały do Amerykanów.

IRAN: Niemcy zajęli czołowe miejsce w handlu irańskim, wypierając Anglików i Rosjan.

IZRAEL: Niemcy załatwili sprawę odszkodowań wojennych i uładowali sobie drogę do handlu.

EGIPT: Niemcy szkolą armię egipską, zastąpili angielskich inżynierów i techników.

JEMEN: Niemiecka umowa z Jemenem niepokoi nauczyci angiło-amerykańskich na Bliskim Wschodzie”.

Zakończenie tego artykułu zasługuje na bliższą uwagę. Brzmi ono:

„Niemiecka konkurencja

nie przejawia żadnych oznak słabnięcia. Amerykańscy i brytyjscy konkurenci wołają o pomoc swych rządów. Ale dopóki zachodnio-niemieckie fabryki broni nie rozkręcą produkcji sprzętu wojennego dla armii europejskiej, dopóki Niemcy zachodnie nie utworzą własnej armii — dopóty będą trzymać się dotychczasowych interesów i posad na Bliskim Wschodzie i sięgać po coraz więcej”.

O bezbrzeżną głupotę! Czy wiecie, co będzie, gdy

Niemcy zachodnie rozkręcą swą własną produkcję wojenną i wystawią nowy „Wehrmacht”? Wtedy dopiero dadzą wam bobu, posyłając kupców, doradców i rzeczoznawców w asyście swych dywizji! „Drang nach Osten” zawsze miał podwójne ostrze: jedno godziło w nas, a drugie nieco dalej, na Bliski Wschód.

A może to tylko „US News and World Report” pozuje na pierwszą naiwną i udaje, że nie wie, iż tak właśnie będzie?

DRESZCZYK EMOCJI ZA 25 DOLARÓW



Na prerii rozciągającej się wokół fortu Huachuca w stanie Arizona (USA) żyło do niedawna około 450 bizonów, resztką olbrzymich stad zwierząt królujących niegdyś na obszarze dzisiejszych Stanów Zjednoczonych. Od wielu lat bizony znajdują się pod ochroną państwa, w przeznaczonych dla nich rezerwach. Nagle amerykańskie dowództwo artylerii postanowiło przekształcić prerię koło fortu Huachuca w wielki poligon. W związku z tym w Waszyngtonie wydano rozkaz odstrzału 200 bizonów.

A ponieważ rzecz działa się w dolarowym raj — natychmiast znaleźli się praktyczni businessmeni, którzy postanowili wykorzystać okazję prawdziwie po amerykańsku. Toteż w prasie amerykańskiej pojawiły



się wielkie ogłoszenia: „Zdobędziesz serce swojej ukochanej pokazując jej zdjęcie polowania na dzikiego bizona. Za jedne 25 dolarów staniesz się bohaterem”. Równocześnie pomysłowi businessmeni wynajęli kilkunastu starych „cowboyów”, którzy chwycić mieli na lasso „władców prerii”.

A oto jak wygląda samo polowanie. Schwytyany przez dwóch cowboyów na lasso bizon leży unieruchomiony, a „bohater” Amerykanin strzela do niego z odległości kilku kroków. Specjalnie zaangażowany fotograf dokonuje zdjęcia, na którym nie widać ani cowboyów ani lassa, lecz dzielnego młodzieńca w momencie od dawania strzału do leżącego na ziemi dzikiego bizona. W ten sposób za jedne 25 dolarów zdobywa się w Stanach Zjednoczonych tytuł „nieustraszonego myśliwego”.



INDYK MYŚLAŁ O NIEDZIELI... W SOBOTĘ ŁEB MU OBCIĘLI



Tekst: KAMILA CHYLIŃSKA

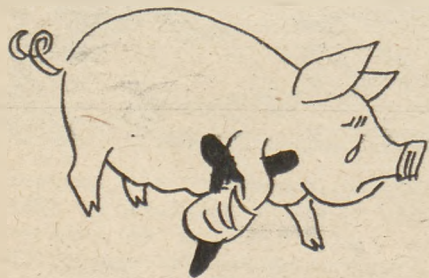
Ilustr.: CHARLIE

POSŁUCHAJCIE — powiedział żałośnie pewien młody indyk — jakże straszne rozczarowanie spotkało mego stryja. Stryj sływał na dziesięć podwórek ze swej klasycznej piękności, był wspaniałym okazem indyckiego rodu, posiadał wszystkie cechy indyka pierwszej klasy. Właściciel jego z Pływaczewa zakontraktował go — i w odpowiednim terminie odwiózł do Gminnej Spółdzielni w Kowalewie. Na widok stryja, jego tłustego ciała, prostego mostka, żółtokremowej barwy skóry pod skrzydłami, klasyfikator aż krzyknął z zachwytem. Na cóż jednak zdały się waga i piękność, skoro niekonsekwentny ten osobnik — gdy przyszło do klasyfikacji — zaliczył stryja nie do pierwszej, a do drugiej klasy. Swoją tryumfalną żywot — wołał z rozpaczą młody indyk — zakończył stryj tak marnie! Odmówiono mu pośmiertnej chwały!

— Czemu to wszystko przypisujesz? — spytało rozważnie prosię, które z najgłębszym współczuciem przysłuchiwało się indyczej skardze.

— Przypisuję to temu — odparł ostro indyk i zatrząsł ze złości koralową brodą — że ludzie lubią się asekurować. Różnice w cenach za poszczególne klasy drobiu są bardzo duże i, jeśli klasyfikatory zbyt wysoko oceni daną sztukę, Centrala Jajczarsko-Drobiarska żąda, by pokrył różnicę z własnej kieszeni. Wobec tego na tak zwany „wszelki wypadek“ woli on klasyfikować drób niżej niż należy.

— Co za niesumienność! — wzdrygnęło się prosię, smutnie kiwając łbem. — Przez tę ludzką niesumienność także i w mojej rodzinie doszło kiedyś do nieśczęścia. Również i moją zakontraktowaną ciotkę pewien gospodarz z Pływaczewa odwiózł do kowalewskiej Gminnej Spółdzielni. I wiecie — co się stało? Zładowano ją z wozu nieostrożnie, bez pochylni, złamano ciotce nogę, a potem właśnie ze względu na tę złamaną nogę nie chciano jej przyjąć i oddano gospodarzowi... Jakaż to ironia losu — dodało prosię z gorzkim sarkazmem — że właśnie ludzie posługują się imieniem mojego rodu na określenie czyjejs niegodziwości lub nieprzychylności.

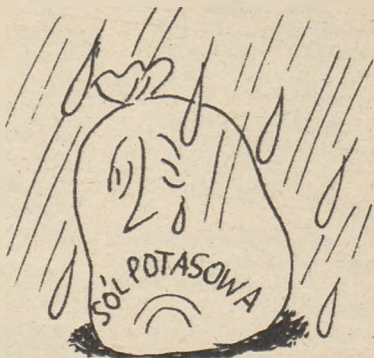


W momencie tym rozległo się głośne szlochanie. To sól potasowa zanosiła się od słonych łez.

— Och, och — łkała — czy znacie moją krzywdę? Nie mam mieszkania. Siedzę w dziurawej szopie. Kiedy deszcz pada, woda kapie na mnie bezlitośnie, cała jestem przeżarta wilgocią, zamieniam się w grudy lub pokrywam tak

twardą skorupą, że trzeba mnie potem kilofem rozbijać.

— Nie cierpisz samotnie — odezwał się do soli potasowej saletrzak. — Magazyny, w których kowalewska Gminna Spółdzielnia przechowuje nawozy sztuczne, urągają nazwie magazynów. Jestem delikatnym pyłkiem i mieszczę się w papierowych workach, te jednak od ra-



zu w owych magazynach pękają od wilgoci, ja zaś ułatwiam się i tracę wartość użyźniającą. A co dopiero powiedzieć o superfosfacie, przysyłanym przez Toruńskie Zakłady Przemysłu Fosforowego w ogóle bez opakowania! Magazyny to ważna polityczna sprawa — dowodził zapalczywie saletrzak.

— Dlaczego aż polityczna? — zdziwiły się chórem młody indyk i rozważne prosię.

— Dlatego polityczna — mówił z naciskiem saletrzak — że my, nawozy sztuczne, użyźniamy glebę i podnosimy wydajność z hektara, że jesteśmy nader istotnym czynnikiem przyspieszania rozwoju rolnictwa. Naszej popularyzacji wśród chłopów państwo poświęca wiele, wiele wysiłków. Czyż nie jest więc wystędem, że przez brak magazynów marnujemy swą młodość, że wielką część naszej wartości oddajemy nie ziemi, lecz powietrzu?

— A czy ten stan rzeczy został przez was otwarcie skrytykowany? — zagadnął indyk.

— Naiwny jesteś — odburknął saletrzak. — Od lat bijemy się o magazyny. Cóż, skoro GS nie decyduje bez PZGS-u, PZGS — bez WZGS-u, WZGS — bez CRS-u. Plany inwestycyjne nie są zatwierdzane, mimo że na przykład kowalewska GS mogłaby za własne nadwyżki postawić magazyny... a nas skazuje się tymczasem na ułotnienie.

— Ludzie są dziwni — westchnął melancholijnie indyk.

Sól potasowa skwapliwie podchwyciła indyczą myśl:

— Czasem nawet bardzo dziwni. Proszę sobie wyobrazić, że personel naszej Gminnej Spółdzielni na gwałt wmusza mnie chłopu, gdy ten żąda na przykład azotniaku lub superfosfatu. To przecież ubliża mojej godności. Nie lubię się narzucać!

— W tym wypadku rozumiesz może trochę zbyt kobieco — zauważył delikatnie saletrzak. — Wiązana sprzedaż nawozów sztucznych jest w zasadzie słuszną, gdyż rolnik powinien stosować kilka nawozów równocześnie. Inna rzecz,

że personel Gminnej Spółdzielni zasadę tę wprowadza w życie mechanicznie, że przydziałów nie indywidualizuje, nie zastanawia się, czego najwięcej potrzeba takiej a takiej glebie, w takiej a takiej porze roku.

Zdenerwowana sól potasowa nie dała się zbić z tropu i skandowała wysokim dyszkantem:

— Tak — właśnie — a — nie — i-na-czej — by-ło w mo-im — wypad-ku! Chłopi to krytykują — a GS postępowania nie zmienia.

— Ludzie nie lubią krytyki — rzekło prosię, z pogardą wydawszy ryj.

— Ludzie to kumoterska klika — zaprzeczył się indyk. — Jeden człowiek drugiemu pomaga, jeden o drugiego dba, a o nas, o zwierzęta i ciała martwe, troszczy się tyle, co o śnieg zeszłoroczny.

— Tu już przesadzasz — zgał zapalczywego indyka umiarkowany saletrzak.

— W krytyce należy zachować obiektywizm, ważyć i sprawdzać zarzuty. Rzecz w tym, że ludzie z kowalewskiej Spółdzielni Gminnej wcale innym ludziom nie pomagali, wcale się o nich nie troszczyli więcej niż o zeszłoroczny śnieg!

Dwa filigranowe ziarenka pszenicy, podobne do siebie jak dwie krople wody, przyłączyły się do dyskusji i, godząc się całkowicie ze zdaniem saletrzaka, płynnie wymieniły szereg krzywd, jakie personel Gminnej Spółdzielni wyrządził rolnikom. Czy nie był na przykład krzywdą fakt, że rolnik płacił za zboże zaprawione, a otrzymywał je tylko z wierzchu przysypane zaprawą? Że kiedy reklamował — pracownik kowalewskiej GS zbywał go twierdzeniem, iż „nie ma czasu“? Czy nie był nadużyciem fakt, że magazynier to samo żyto ocenił jednego dnia za suche, a następnego dnia odkrył „na oko“, że zawiera ono 4% wilgoci, wskutek czego wymiar dostawy podwyższył się o 4%? Czy zamiast „na oko“ oceniać stan zboża nie byłoby lepiej, by GS kowalewska z większą energią starała się o naprawę bezczynnie stojącego wilgociomierza?

— Chwileczkę — wtrąciło prosię, przerywając potoczystą wymowę dyskusantów. — W ostatnich punktach sprawozdania wymieniacie zdarzenia, które rozegrały się jeszcze za kadencji poprzedniego zarządu...

— Ale które częściowo rozgrywają się i dzisiaj — odparowały ziarenka pszenicy. — Zresztą nowy zarząd pracuje dopiero od kilku miesięcy. I właśnie dlatego, że mamy do niego zaufanie — trzeba, by znał on wszystkie pretensje chłopów do zarządu poprzedniego i trzeba, by szybciej likwidował błędy przetrwał i odziedziczone.

— Słusznie — potwierdził z mocą indyk. — A poza tym — dorzucił po chwili namysłu — nasza krytyka nie powinna się zatrzymywać na niskim szczeblu, powinna dosięgać wszystkich, którzy na nią zasługują, niezależnie od rangi i stanowiska.

Odwagą sformułowanie indyka wyzwoliło wśród zgromadzonych zdrowy zapal krytyczny, rosnący z minuty na minutę.

— Dlaczego nie załatwiono na czas ziarną kwalifikowanego? — wołało z

oburzeniem prosię. — GS wstrzymywała chłopów od siewu, chłop czekał, czekał, wreszcie zasiał, co miał, a ziarno kwalifikowane nadeszło... po siewie, w październiku!

— Winien jest PGR zespół Wałycz — krzyknął demaskatorsko saletrzak. — Stamtąd to przysłano do naszego powiatu takie ziarno, że je Stacja Oceny Nasiion zdyskwalifikowała!

— Dlaczego nie otrzymałam dotąd premii za październik? — ryknęła rozdierającą dyskretną zwykłe i wcale do polemiki nie pochoptą krowa. — Przecież ponadplanowe dostawy mleka są premiowane otrębami. My chcemy otrąb! Łatwo poddaje się depresji psychicznej — wyjaśniała krowa — i jeśli raz obniżam swą wydajność w mleku, trudno mi z powrotem osiągnąć normę!



— Winne są Wojewódzkie Zakłady Obrotu Paszami w Bydgoszczy — odpowiedział indyk najgniewniejszym wariantem swej dykcji. — To one nie przysłały otrąb.

— Krytykować bydgoskie Zakłady za otręby!

— PGR zespół Wałycz za ziarno słewne!

— Toruńskie Zakłady Przemysłu Fosforowego za brak opakowań do nawozów!

— GS, PZGS, WZGS i CRS za magazyny!

— Magazyniera w GS za niesumienność!

— Klasyfikatorów w GS za indyczą krzywdę!

— Sprzedawców w GS za mechaniczne stosowanie zasady wiązanej sprzedaży nawozów!

Niepowszednia siła wstąpiła w zgromadzenie. Zagrały pasje, namietności, temperamenty. Koralowa broda indycza trzęsła się jak na huraganowym wietrze. Prosię rozdeło się groźnie i przeraźliwie kwiczało wykazując najdalej idące wzburzenie. Sól potasowa stwardniała z przejęcia na kamień, a tumany saletrzaka zaczęły tańczyć nad ziemią. Gdyby skuteczność krytyki była wprost proporcjonalna do żarliwości krytykujących — wszystkie sprawy zostałyby z miejsca rozstrzygnięte.

Ponieważ jednak autorka reportażu wiedziała, że nie zawsze się tak dzieje w życiu, przeto wniosła w górę różdkę czarodziejską, czyli pióro, przy którego pomocy obdarzyła uprzednio swych bohaterów umiejętnością mówienia — i oświadczyła im, że oto za chwilę, za potwórnym dotknięciem różdżki, owa cudowna zdolność zostanie im odjęta.

— Jakżeż to? — zdążyli jeszcze zaprotestować chóralnie bohaterowie reportażu. — Przecież to jest tłumienie krytyki!!!

— Drodzy przyjaciele! — zawołała autorka broniąc się przed dramatycznym, acz zgola niesprawiedliwym zarzutem i szukając najcelniejszych argumentów dla wyjaśnienia swego stanowiska. — Drodzy przyjaciele! — powtórzyła. — Największa szansa na skuteczność waszej ze wszechmiar słusznej krytyki pochodzi właśnie stąd, że się od człowieka różnicie, że zatem wystąpienie wasze posiada cechy zjawiska wręcz niezwyklego. Gdyby bowiem utrwalona zdolność mówienia upodobniła was do ludzkiego rodu na zawsze — wtedy niektóre krytykowane przez was czynniki nie poświęciłyby zapewne głosom waszym więcej uwagi, niż przez miesiące i lata poświęcały głosom ludzkim.



Celem zwiedzenia szeregu miejscowości w Polsce 5 grudnia 1953 przybyło do Warszawy 9 deputowanych do Francuskiego Zgromadzenia Narodowego: b. premier, prezes Partii Radykalnej, Edward Daladier, b. minister Soustelle, członkowie Partii Socjalistycznej: Conte i Darou, Denis (MRP), Lanet (UDSR), Lebon (URAS) Lousteaunau-Lacau (niezależny) oraz Verneuil (Partia Radykalna).

PARLAMENTARZYŚCI FRANCUSCY W POLSCE



Deputowanych francuskich przywitani na lotnisku w Warszawie: Sekretarz Generalny Komitetu Współpracy Kulturalnej z Zagranicą, J. K. Wende, przewodniczący Polsko-Francuskiej Grupy Parlamentarnej w Sejmie, poseł Oskar Lange, oraz Dyrektor Protokołu Dyplomatycznego MSZ, Edward Bartol. Na zdjęciu: b. premier Daladier w towarzystwie amb. Wendego opuszczają lotnisko warszawskie.



Deputowani francuscy zwiedzili w Polsce: Warszawę, Gdańsk, Gdynię, Wrocław, Oświęcim, Kraków i Nową Hutę. Na zdjęciu: goście francuscy na ulicach Gdańska.

DIARIUSZ DAMY

Bekodzenie ze str. 15

O 5 wróciłam się do domu. Ciężka migrena: piłam herbatę. Jmć Pan Fadon był u drzwi, ale nie chciałam go przyjąć. Trzeba będzie nauczyć Pana Podśedka, żeby wiedział, jak to gadać z Damami*.

Redaktor „Monitora” dodawał:

„Życzylbym serdecznie, żeby ta Dama choć raz o tym pomyślała, co by potomni ludzie o niej mówili, gdyby historia opisała całe jej życie...”

Ostrzeżenie to sformułowane zostało z całą powagą. „Diariusz” był bowiem wiernym odbiciem rzeczywistego dnia codziennego ludzi, którzy bogacili się dzięki pańszczyźnianej pracy milionów zagłodzonych chłopów; bogacili się i trwonili majątki, mieli imiona i nazwiska, tytuły, herby rodowe i powozy, a także hajduków, którym z powodu złego humoru można było „dać w pysk”.

Zdarzyło się więc naprawdę, że opis życia Damy znajdują potomni w dziesiątkach dokumentów i to nie tylko tak odległych jak „Diariusz” Monitora i ogłoszenie Jejmość Pani Mokronowskiej Strażnikowej Polnej Koronnej w „Gazecie Warszawskiej” z tego samego okresu.

Nie było też takiego dziesiątka lat polskiej przeszłości, który nie pozostawiłby po sobie dalszego ciągu zbeletryzowanych dziejów Damy i Kawalera. W roku 1875 ukazał się J. J. Kraszewskiego „Pamiętnik Panicza”, uderzający podobieństwem do swego stanisławowskiego antenata nawet w stylu relacji:

„Siedliśmy grać w ecarte we trzech, co mi było bardzo na rękę, bom się nudzić zaczynał... Kilkanaście dukatów przegrałem, dziwnie mi nie szło. Iwiński się śmiał, że zapewne w czym innym musiał mieć szczęście. Czyżby się czego domyślał? Hrabia Ferdynand powiedział mu, że mnie z Hawryłowiczami spotkał”. Następuje dzień po dniu, paciorek po paciorce, różaniec nieskończonej głupoty i niepojętej pychy. Hrabia Robert Iwiński wydaje obiad, a że jest „człowiekiem wyższych pojęć i dobrze świat rozumie”, poucza swego gościa:

„Władza i powaga jak były, tak są w naszych rękach... Świat się nigdy nie zmieni”.

Kiedy indziej wyklada swoje poglądy autor pamiętnika: „Pracy wymagać od nas nie można... My mamy powołanie kształcić w sobie uczucia i gusta szlachetne, cywilizować, obyczaje łagodzić...” Galicyjski nosiciel kultury wystąpi w pełnym blasku pod datą 7 lipca, kiedy to rozmawiano o Mickiewiczu, Słowackim i Krasińskim:

„Toczyła się tu zwawa rozprawa o jakimś Juliuszu. Nie mogę dotąd odgadnąć, co to za jeden? Utrzymywał literat, że to był największy poeta współczesny polski; drugi — że forma tylko piękna czyniła go nim, a w treści tkwiły jakieś żywy! Pierwszy na dowód wydekla-mował wiersz, z którego tylko pamiętam powtarzane wyrazy:

Smutno mi Boże!...

„...Cała nadzieja była w tym, że może w co grać zacząć, choćby w mariasza... Ale ba! zaczęto o mistrzu Adamie (tego znam z reputacji) i o poecie Anonymie... Rozmowa toczyła się dla mnie zupełnie obca o książkach, o których nigdy nie słyszałem, i rzeczach nieznanach...”

Lecz cóż tu na to poradzić? Książki polskiej za nic w rękę nie wezmę...”

Nieco później, w lipcu 1875, ukazał się Kraszewskiego „Dziennik Serafina”, prezentując zasady równie niezłomne: „U mamy bo z z a s a d y nic polskiego nie było, utrzymywała zawsze, że nasze książki pisane są dla przedpokojów... i że młodej paniencie uwłaczałoby, gdyby się nimi zajmowała...”

„O cóż idzie, ażeby być szczęśliwą?... Ciocia mówi i mama się na to godzi, iż pierwszym warunkiem jest wielka fortuna... i że kobieta, która jej nie ma, przestaje być nią, a staje się istotą podrzędną i bez wdzięku... Potem trzeba być com me il faut, a na ostatek zawsze panią siebie... i zimną, zimną, a obrachowaną...”(*)

Nie inaczej patrzyła na swoje sprawy panna Izabela Łęcka, nie tylko dlatego, że czasy były podobne, ciągle te same siedemdziesiąte lata, ale że ta sama wydała jej klasa i takimi samymi opatrzyła doświadczeniami przeszłości.

„Raz tylko niższy świat zrobił na niej potężne wrażenie.

„Pewnego dnia, we Francji, zwiedzała fabrykę żelazną. Zjeżdżając z góry w okolicy pełnej lasów i łąk, pod szafirowym niebem, zobaczyła otchłań, wypełnioną obłokami czarnych dymów i białych par i usłyszała głuchy łoskot, zgrzyt i sapanie machin. Potem widziała piece, jak wieże średniowiecznych zamków, dyszące płomieniami — potężne koła, które obracały się z szybkością błyskawic — wielkie rusztowania, które same toczyły się po szynach — strumienie rozpalonego do białości żelaza i półnagich robotników, jak spizowe posągi o ponurych wejrzeniach. Ponad tym wszystkim — krwawa luna, warczenie kół, jęki miechów, grzmot młotów i niecierpliwe oddechy kotłów, a pod stopami dreszcz wyleknionej ziemi.

„Wtedy zdało jej się, że z wyżyn szczęśliwego Olimpu zstąpiła do beznadziejnej otchłani Wulkana, gdzie cyklopowie kują pioruny, mogące zdruzgotać sam Olimp. Przyszły jej na myśl legendy o zbuntowanych olbrzymach... W owym czasie dużo mówiono o zbliżającym się końcu starego świata...”

27 stycznia 1953 roku w polskiej prasie codziennej ukazała się wiadomość, umieszczona na dalszych stronach, a przecież żywo komentowana przez Ambrozego. 20 policjantów wkroczyło do nocnego lokalu. Panowie we frakach poddani zostali gruntownej rewizji, skonfiskowano ruletki, sporządzono protokoły w związku z nielegalnym wyszynkiem alkoholu i uprawianiem gier hazardowych. Wśród wylegitymowanych przedstawicieli Dam i Kawalerów znaleźli się hrabia August Zaleski i generał Anders. Rzecz miała miejsce w Londynie, w „Klubie Orła Białego”. Stanowiła epilog Diariusza rozpoczętego w styczniu 1776.

*) Obie książki Kraszewskiego — „Pamiętnik Panicza” i „Dziennik Serafina” — wznowiono niedawno nakładem „Czytelnika”, z przedmową Zbigniewa Mitznera.



ROK „PRZEŁOMU” — CZY BANKRUCTWA?

Bilans filmowy 1953 — w świetle festiwalów

CO PRZYNIÓSŁ rok 1953 sztuce filmowej? Odpowiedź może nam ułatwić przegląd festiwalu. Głównymi tego roku „targami filmowymi” w Europie były pokazy w Cannes i Wenecji. Jak wyglądała sytuacja w filmie światowym pod kątem tych przeglądów? Krytycy francuscy i włoscy piszą, że sezon ten charakteryzuje: 1) zniknięcie amerykańskiego filmu o ambicjach artystycznych — ani jedna z tegorocznych produkcji USA „nie przejdzie do skorowidza historii filmu”, jak wyraża się jeden z recenzentów, 2) wysunięcie się filmu francuskiego na naczelną rolę w Europie („Za cenę strachu” Clouzota, „Wakacje pana Hulota” Tati’ego, „Teresa Raquin” — Carne’go), wreszcie 3) sukces filmów radzieckich, biorących po raz pierwszy po wojnie udział w festiwalach („Powrót Bortnikowa” Pudownikina i „Rimski” — Korsakow” w Wenecji, „Sadko” w Cannes) oraz polskiej „Młodości Chopina”.

Dla filmu amerykańskiego jest to „rok przełomu” — tak twierdzi prasa Hollywoodu — „rok klęski” — utrzymuje krytyka francuska. Jedni i drudzy — być może — nie mylą się. Przełom — zdaniem hollywoodzkich producentów — polega na wprowadzeniu nowości technicznej — kina trójwymiarowego, co stanowić ma „największą rewolucję w dziejach filmu od czasu dźwiękowca”.

Rok 53 stanowi przecież również niewątpliwie „dno kryzysu” dla filmowców USA. Po raz pierwszy w ciągu swojej historii trust producentów zwrócił się o pomoc do państwa; wystąpienie przedstawiciela Hollywoodu, mecenasa Coyne, w Kongresie w Waszyngtonie było „największym upokorzeniem w dziejach filmu amerykańskiego”, pisze „New York Times”. Ale też Hollywood w ciągu swych dziejów nie doznał podobnej klęski: frekwencja spadła z 90 milionów widzów tygodniowo w roku 1947 do 46 milionów w czerwcu 1953 (ludność USA powiększyła się w tym czasie o 15 milionów!). Na 17.000 kinoteatrów, zamknięto 5.000, następne zaś 5.000 stoi w obliczu bankructwa! Hollywood, w przeciągu roku, stracił połowę swoich klientów.

W rezultacie wielkie koncerny zawiesiły produkcję. Spośród 15 atelier firmy „Metro-Goldwyn-Mayer” pracuje zaledwie jedno. Reporter francuskiego tygodnika „Match” pisze: „Kręci się tu tylko dwa filmy — dwa filmy w monumentalnej fabryce, obejmującej 30 hektarów, 195 budynków i 30 specjalnych terenów do zdjęć! Studio MGM ma własną linię kolejową, własną straż pożarną, restaurację wydającą 3.000 posiłków dziennie, prywatny szpital, tartak mechaniczny, drugą co do rozmiarów kolekcję płyt gramofonowych na świecie, pracowników należących do 262 grup zawodowych, nieprawdopodobnie zasobne magazyny, zdolne dostarczyć w ciągu 5 minut srebrną zastawę z czasów Kongresu Wiedeńskiego lub kompletne umeblowanie pagody z epoki Mingów. I kręci się tu dwa filmy!” To samo w innych wytwórniach:

Universal nie wyprodukował ani metra taśmy w ciągu sierpnia i września; deficyt RKO wynosił 15 milionów dolarów.

Śmiertelny cios zadała Hollywoodowi telewizja. Nie znaczy to bynajmniej, że widowiska telewizyjne są artystycznie lepsze od filmów. „Spektakle te — stwierdza krytyk „Revue du cinema” — są krótkie, ubogie, opierają się na kamerach, która przypomina inscenizację z pierwszych lat kina dźwiękowego”.

Podniesienie wartości artystycznej może uratować film amerykański, ale w Hollywoodu wybrali inną drogę: pojedynku za pomocą instalacji maszynowych. Usiłują oni obmyśleć formy widowisk, niedostępne dla telewizji. Dyskusja odbywa się więc na terenie nie sztuki, ale szraganu, gdzie przeciwnicy zarzucają się jaskrawymi pomysłami technicznymi. Pierwsza z innowacji — to film stereoskopowy, posługujący się podwójną fotografią, odpowiadającą odmiennym punktom widzenia prawego i lewego oka. Wymaga on okularów, męczy oko, daje projekcję niewyraźną; film „Bwana devil”, nakręcony w dżungli afrykańskiej, reklamowany sloganem „lew skacze na ciebie, dziewczyna rzuca ci się w objęcia” — szybko znudził się publiczności, która po kwadransie zabawy przekonała się szybko, że gatunek ten nie przynosi nowej treści artystycznej. Producenci przeczuli się więc na „cinerama” (lub „cinescope”), tj. ekran wydłużony trzykrotnie, obejmujący widza półkolem z obydwu stron. Obraz filmowy zmienia kształt, staje się „kiszkowaty”, co uniemożliwia zbliżenia. Inszenizacja wraca do stylu teatralnego, dekoracja buduje się wszcz. ustawiając aktorów szeregiem. Gafunek ten zmusza filmowców do powrotu do rewii tanecznych lub „kobyli historycznych”. Specjalne aparaty projekcyjne, trudność przebudowy sal kinowych, wreszcie konieczność nakręcania bogatych spektakli kostiumowo-pokazowych podraża koszty produkcji do tego stopnia, że film staje się widowiskiem ekskluzywnym: „Będziemy kręcić dla elity”, oświadcza dyrektor MGM.

FIASKO „JULIUSZA CEZARA”

Rok 53 w USA stał więc pod znakiem „super-produkcji”, opartych na tematach historyczno-biblijnych, typu „Quo vadis”, „Samson i Dalila” itd. W tym gatunku pompatycznym, głównym filmem miał być „Juliusz Cezar” według Szekspira, nakręcony (na ekran „normalny”) przez MGM z udziałem najlepszych tragicznych angielskich sprowadzonych specjalnie (James Mason, bohater znanego u nas „Szarego lorda” — jako Brutus, John Gielgud, aktor z londyńskiego „Old Vic” — jako Kasjusz, itd.). Krytyka europejska była wręcz zaskoczona „złym gustem tego filmu — po entuzjastycznych sprawozdaniach, jakie czytaliśmy w prasie amerykańskiej, napisanych przez szanowanych i u nas krytyków” — pisze G. Sadoul w „Lettres francaises”.

Sadoul zarzuca filmowi szafszafowanie Szekspira, który Brutusa — spiskowca przeciwko tyranii Cezara — przedstawia jako szlachetnego, pełnego godności, choć niefortunliwego wojownika o wolność i republikę. „W filmie amerykańskim Brutus stał się nerwowym, małoduszny histerykiem, który „sam nie wie czego chce” — film z ideologicznego stał się psychologiczny, jego treść ideowa została zatarta. „Spisek polityczny zmienił się w melodramat”, walka w senacie rzymskim — w porachunki między gangsterami, tym więcej, że np. aktor grający Metellusa znany jest publiczności jako wykonawca ról bandytów, tak że „oczekujemy lada chwila, czy

nie wyciągnie rewolweru spod togi”. „Bitwa pod Filipi przypomina atak Indian na kowbojski”.

Stała się więc rzecz rzadka w rocznikach festiwalów — „Juliusz Cezar”, nakręcony kosztem 3 milionów dolarów, specjalnie by „olśnić Europę” — odrzucony został przez jury w Wenecji, „którego wszak nikt nie podejrzewa o brak sympatii do USA!” — pisze Sadoul — z powodu „artystycznych niedostatków” (insuffisance artistique).

MELODRAMAT O KSIĘŻNICZCE I DZENTELMENIE

Inny film amerykański, poprzedzony hałaśliwą reklamą — „The Roman holiday” (Święto rzymskie) — przyjęty był więcej niż zimno. Rozgłos filmu opiera się na skandalu plotkarskim, nie na jego wartości artystycznej. Prasa anglosaska mianowicie zajmuje się ostatnio miłośniczką księżniczki Małgorzaty, siostry królowej Elżbiety, i kpt. Filipa Townsenda, jej oficera przybocznego. Ukochany Małgorzaty nie pochodzi ze szlachty, w dodatku ma lat 40 i jest rozwiedziony (ma dwoje dzieci). Opinia jest „za miłością”, rząd i rodzina królewska „przeciwko”, prasa rodmuchuje niezdrowe zainteresowanie, przewidując drugi skandal typu „król Edward”, który dla rozwódki pani Simpson zrezygnował z tronu (był to wujcio Małgorzaty). W filmie „Święto rzymskie” dziennikarz amerykański w Rzymie spotyka dziewczynę śpiącą na ławce na ulicy, opiekuje się nią, spędzają uroczysty dzień, zakochują się — okazuje się, że bezdomna jest księżniczką, która na jeden dzień uciekła od dworskiej etykiety i teraz, z rozdartym sercem, wraca na salony. Rolę dziennikarza gra „pierwszy amant Hollywoodu”, Gregory Peck, film „obliczony jest na łzawą publiczność kobiecą” — pisze jeden z recenzentów; „mimo aktualnego tła skandalicznego, nie ma jednej sekundy prawdy życiowej w tym nieznosnym melodramacie” — powiada drugi.

„TRAGEDIA NITROGLICERYNOWA”

„Wielkim dramatem sezonu” — stwierdzają krytycy — stał się film reżysera niezależnego, Clouzota, „Za cenę strachu”, „przywracający Francji berło pierwszeństwa w Europie, utracone w ostatnich latach na rzecz Włochów”. Film nakręcony został wg powieści Arnauda (publikowanej u nas w „Przekroju”): jest to, jak pisze jeden z recenzentów, „dwie i pół godziny we wzrastającym napięciu, poświęcone analizie niehumanitarnej atmosfery stworzonej przez BIG BUSINESS” (wielki kapitał). W południowo-amerykańskiej kopalni ropy wybuchł pożar; ugasić go można tylko potężnym podmuchem eksplozji.

Trzeba natychmiast sprowadzić ładunek nitrogliceryny, znajdujący się w składach oddalonych o paręset km. Czterej wykołeni, rzucający przez los w tę okolicę, podejmują się przewieźć na dwóch samochodach ciężarowych potworny ładunek, grożący wybuchem przy lada uderzeniu koła o kamień przydrożny — w zamian za premię 1 000 dol. dla każdego — co umożliwi im rozpoczęcie nowego życia.

W ciągu dwóch godzin film pokazuje „ni-by przez szkło powiększające” każdy metr straszliwej podróży i narastające w kierowcach uczucie panicznego strachu. Clouzot wprowadza tu niezwykle efekty filmowe — np. jeden z zwoźców kręci papierosa, gdy podmuch powietrza rzuca mu tytoń z bułki; na horyzoncie pojawia się olbrzymi biały obłok i za chwilę dopiero słychać huk eksplozji — to pierwszy samochód wyleciał w powietrze. Wszyscy czterej uczestnicy transportu gina, jako ofiary owej „tragicii byznesu”. „Mistrzostwo dramatyczne w stopniowaniu napięcia, umiejętność obserwacji drobnych odruchów ludzkich — osiągnęły tu granicę, którą nieprędko uda się filmowi przekroczyć — pisze jeden z krytyków — granicę sąsiadującą z okrucieństwem”. Film ten został przyjęty niechętnie przez krytykę amerykańską; w „Films in Review” (New York) czytamy, że „czarnym charakterem w „Za cenę strachu” jest Amerykanin, były gangster, obecnie szef policji prywatnej wszechpotężnej SOC” (towarzystwa naftowego). To on angażuje ochotników do śmiertelnej podróży, o swolch policjantach wyraża się zaś, że „gorli są od moich dawnych kolegów gangsterów, tamci nie byli bowiem kryci przez prawo”. „Zjawisko tym bardziej niepokojące — pisze sprawozdawca amerykański — że innym doskonałym filmem festiwalowym jest obraz japoński „Dzieci Hiroshimy”, pokazujący tragedię miasta zatomizowanego w 1945 roku. Gdy dzieciak w łachmanach, który utracił w katastrofie rodziców, śpiewa na ulicy: „Tatusiu umarł, mamusia umarła, w dniu gdy wybuchła bomba”, przez widownię przeszedł odruch, który nie był miły dla obecnych na sali Amerykanów”.)

WESOŁY PAN HULOT

Francuzi osiągnęli również sukces w komedii; „Wakacje pana Hulota” krytyka określa jako „niespodziewane odświeżenie gatunku filmowej groteski obyczajowej”. Autorem tego filmu jest komik kabaretowy Jacques Tati, który nakręcił już parę filmów, m. in. „Jour de fete” (Dzień świąteczny), jeden z wielkich triumfów komedii francuskiej po wojnie. Specjalność Tati’ego, to nastrój małego miasteczka, w którym demaskuje on komiczne przyzwyczajenia zasiedziały, zadufanych w sobie, lecz pogodnych mieszczuchów. Ten typowo francuski nastrój, nie pozbawiony liryzmu, robi z Tati’ego „odrodziciela komedii narodowej”, przeciwstawiającej się kosmopolityzmowi hollywoodzkiemu.

W „Wakacjach pana Hulota” poczciwy mieszczuch przybywa do małej miejscowości nadmorskiej, ale jego niegrabstwo ślaga na niego niechęć całego pensjonatu (noc w noc budzi towarzystwo pragnące odpoczynku, za pomocą swego pyrkającego nieznosnie starego samochodu, to znów sprowadza wszystkich

*) „Film Polski” toczy petrakcje o nabytciu „Za cenę strachu” na nasze ekrany.

„NADZIEI ZA DWA GROSZE” — tak brzmi tytuł nowego wybitnego filmu włoskiego (reż. Renato Castellani), który zakupiony został do rozpowszechniania na naszych ekranach. Zanim Czytelnicy będą mogli zobaczyć go w kinie, prezentujemy poniżej skrót akcji tego filmu.

20-letni Antonio Catalano po odbyciu służby wojskowej powraca do rodzinnego miasteczka Cusano, opodal Neapolu. Rodzina Antonia jest w nędzy, a on — i wielu innych mieszkańców — nie może otrzymać żadnej pracy. Wraz z innymi

bezzrobotnymi spędza całe dni na rynku miasteczka. (1) Nowym utrapieniem Antonia staje się wkrótce miłość. Jego sympatią, młoda Carmela, (2) jest córka miejscowego rzemieślnika Pasquale Artu, produkującego sztuczne ognie.

Antonio uważa wprawdzie, że w obecnej sytuacji nie ma prawa tak postępować, ale Carmela, energiczna i uparta dziewczyna, nie zamierza rezygnować z miłości, chociaż jej ojciec kategorycznie sprzeciwia się małżeństwu córki z bezrobotnym. Bezzrobotnie uważa on za skutek niedołęstwa.

Antonio zdobywa przejściowo miejsce szofera w spółdzielni, zorganizowanej przez woźniców (3). Ale groteskowo przedsięwzięcie rozpada się z chwilą katastrofy autobusu i zrezygnowany Antonio wyrusza do Neapolu.

Wkrótce jednak policja odsyła go z powrotem — w Neapolu jest dość miejscowych bezzrobotnych. W domu czeka go przykra wiadomość: jego siostra Gulliana została uwiedzona przez dziurawca. Petrakcje w sprawie małżeństwa rozbijają się o brak wyprawy.



kie psy z okolicy, powoduje niechęć eksplozję schodu petard i ogni sztucznych itd.). Film ten, bardziej blady niż „Za cenę strachu”, zawiera wiele ciekawych nowych efektów filmowych; jest on właściwie niemy, tj. mimiczny, ilustrując go dźwięki są „na marginesie akcji”, dobiegają nas z boku: gwizd pociągu, którym przyjeżdżają letnicy, prztykanie gruchota samochodowego pana Hulot, bełkot rozmów banalnie wakacyjnych. „Pięknie było na wycieczce, co za widoki, a co pani o tym sądzi, prawda, że coś zachwycającego”, itd. itd. Pośrodku tych hałasów pan Hulot nigdy głosu nie zabiera. Kłania się grzecznie, wnosi paniom walizki do pokoju itd., ale robi to mimo najlepszych chęci tak niezgrabnie, że ściąga na siebie kpiny i lekceważenie; nie przestaje być jednak przeciętnym, serdecznym pocziwem — typowym drobnym prowincjuszem francuskim, którego ludzkie cechy Tati, w gruncie rzeczy, gloryfikuje w swoim filmie.

Sensacją wreszcie był udział filmów radzieckich, przyjętych nadspodziewanie dobrze przez krytykę, również prawnicową. „Sadko” wywołał w prasie właściwej entuzjizm znacznie większy niż w Związku Radzieckim, gdzie krytyka postawiła filmowi liczne zarzuty, szczególnie jeśli idzie o sylwetę psychologiczną bohatera, ulegającego zbyt łatwym przemianom. Ale gatunek tego filmu, „bajki filmowo — muzycznej, traktowanej zarazem żartobliwie i serio, poetycznej i humorystycznej jednocześnie” — był czymś nowym dla publiczności zachodniej.

Wszyscy sprawozdawcy wymieniają wreszcie „Młodość Chopina”, mniej lub więcej gorąco; jeden stwierdza ze zdziwieniem (i z kompletnym niezrozumieniem), że „reżyser polski pozwolił sobie na wielką śmiałość, pokazując starcie Polaków z Rosjanami — jak to się skończy dla niego?” (Odpowiedź: nagrodą państwową — za film obrazujący walkę z caratem i solidarność rewolucyjną dwóch narodów). Opinie o „Młodości Chopina” są, bez jednego wyjątku, zgodne: „Jest to poważne, ze smakiem zrobione dzieło sztuki filmowej”.

ZYGMUNT KALUŻYŃSKI



Oto wzorowy ekwipunek na zimowe wczasy: narty i książeczka P.K.O.



WIDZIAŁEM „LIMELIGHT”

JERZY TOEPLITZ

NA ULICY deszcz i wiatr strącający liście z drzew. W małej sali „Cine-mattheque Francaise” jest cicho, pusto i przytulnie. Biura i muzeum są dziś zamknięte — dzień drugi listopada jest półoficjalnym świętem w Paryżu. Dzień Zaduszny — poświęcony pamięci zmarłych. Do sali projekcyjnej przechodzi się przez tonące w półmroku sale filmowego muzeum — na ścianach biegają, przyodlane w czarne trykoty, śmieszne figurki z Mareyowskiej chronofotografii. Robertsonowskie duchy, wywołane za pomocą czarów fantasmagorii, straszą w ciemnych zakamarkach. Cwają w przerywy konie Muybridge’a z fermy w Palo Alto w słonecznej Kalifornii. Dawno zapomniani przodkowie, protoplaści kina, przygotowują do spotkania z Chaplinem. Za chwilę zobaczymy „Światła rampy”, film, o którym tyle słyszałem i tyle czytałem.

Jeszcze minuta czy dwie — mechanicy przygotowują aparat projekcyjny. Akurat tyle czasu, by uświadomić sobie, że odkąd w mojej pamięci pojawił się film, Chaplin był zawsze jego nieodłączną częścią. Przecież to już więcej niż trzydzieści lat minęło od dnia, w którym spotkałem go po raz pierwszy — w „Brzdącu”. A potem „Gorączka złota”, „Cyrek”, „Pielgrzym” oglądany w małym kinie, gdzieś na przedmieściach Mediolanu, „Światła wielkiego miasta”, uroczysta europejska premiera „Dzisiejszych czasów” w londyńskim „Tivoli”, „Dyktator” witany huraganami śmiechu w powojennym Paryżu, w gorączkowych, pełnych jeszcze oszołomienia dniach września roku 1945, i „Monsieur Verdoux” w małej salce festiwalowego kina w Marińskich Łaźniach. Za każdym razem to samo oczekiwanie, ta sama ciekawość — jak będzie ten nowy Chaplin. Bo przecież w każdym filmie zawsze i niezmiennie odkrywałem nowego, innego, często nieoczekiwanego Chaplina...

Światło zgaskło. Na białym płótnie ekranu pojawiły się wstępne napisy. Zadźwięczała melodia „Arlekinady”, którą bez przerwy grają wszystkie taneczne orkiestry Londynu, Paryża, Brukseli czy Amsterdamu. I tak zaczął się film „Światła rampy”, — „historia tancerki i clowna”, jak nazwał w podtytułach swój utwór autor, reżyser, główny aktor i kompozytor. Niewiele jest już ludzi na świecie, którzy by w tak pełny sposób reprezentowali dawne, sprzed lat pięćdziesiąt, tradycje kina indywidualnego.

Pierwsza niespodzianka „Światła rampy” to ukazanie się Chaplina. Na ekranie pojawia się nie wiochęga w meloniku, nie kla-

syczny „Charlot” czy „Charlie”, nieśmiertelny tramp, który przez pół wieku przewodził wszystkim kontynentom świata, ale Mr Charles Spencer Chaplin w cywilu. Ten sam starszy, siwy pan, którego McCarthy wyrzucił z Ameryki jako groźnego wywrotowca i rewolucjonistę. W zewnętrznym wyglądzie nie ma różnicy pomiędzy aktorem a filmową postacią. Chaplin i Calvero to tylko dwa nazwiska tej samej osoby. W pokoju starego clowna Calvero, który jeszcze przed paru laty był znakomitym i popularnym artystą, wiszą jego fotografie z dawnych, szczęśliwych czasów młodości. Znamy doskonale te zdjęcia, pamiętamy cywilny fotos Chaplina, młodego człowieka o czarnych jeszcze skroniach w okresie pierwszej podróży do Europy, w latach dwudziestych. A więc nie tylko w dzisiejszej sylwetce, ale i w przeszłości autora i jego dzieła zatarte są wszelkie granice i różnice. Patrząc na film, którego akcja rozpoczyna się późnym jesiennym popołudniem 1914 roku, nie przestajemy myśleć o Chaplinie z roku 1952 czy 1953. Tak jak wszystkie poprzednie filmy, tak i „Światła rampy” są częścią Chaplinowskiej autobiografii.

Po paru scenach, po kilkunastu minutach projekcji fabuła filmu nie ma już żadnych tajemnic. Stary clown Calvero, który nie może znaleźć pracy, przestał bowiem śmieszyć publiczność, ratuje młodą dziewczynę Terry przed samobójstwem. Terry jest na wpół sparaliżowana tancerką. Samotna, bez pieniędzy, bez żadnych perspektyw życiowych — szuka ratunku w śmierci. Co się dalej stanie — jest jasne. Calvero wyleczy dziewczynę. Calvero da jej wiarę we własne siły. Terry będzie wielką tancerką, a on, nie chcąc jej wiązać, nie chcąc być ciężarem dla młodej dziewczyny, do której należy cały świat, odejdzie. Będzie ulicznym grajkiem zbierającym parę pensów do kapelusza dla siebie i dla takich samych jak on bezrobotnych „emerytów” music-hallu czy wariet. Jakże banalna historia — można powiedzieć. I jakże Chaplinowska — dodać. Sentymalna komedia — tak nazwał Chaplin „Światła wielkiego miasta”, „Światła rampy” są nową wersją starej jak świat opowieści...

Mija czas rozgrywania się na ekranie wydarzeń i czas projekcji filmowej. I zaczyna działać urok Chaplinowskiego filmu, szlachetna magia prawdziwej sztuki. Nie ważne są banalne ramy opowiadania, nie razi schemat odwiecznego trójkąta, ani „filmowy” cud wielkiego sukcesu Terry. Ważny jest ładunek uczuciowy historii tancerki i

Korespondencja własna z Paryża

clowna. Wierzymy w szlachetność clowna, w szlachetność człowieka, który zdaje sobie sprawę, że jest starym, zaplątanym kome-diantem, bez jutra. Czy Terry go kocha? Ura-tował jej życie, jemu zawdzięcza swoją blyskotliwą karierę, tylko i wyłącznie dzięki niemu jest znakomitą tancerką, której wróżą wielką przyszłość. Jakże trudno rozróżnić się w ludzkich uczuciach i kłót potrafił odpowiedzieć, czy miłość Terry do Calvero nie jest tylko wyrazem wdzięczności, podziwu, głębokiej przyjaźni? Może prawdziwa miłość przyjdzie później i nie Calvero będzie szczęśliwym wybrańcem losu? W banalnej historii dużo jest niepowodzeń, dużo pomyłek być może kryje się w tych a nie innych decyzjach bohaterów. Kończą się „Światła rampy”. — W ostatniej chwili Calvero przeżywa triumf — podczas jubileuszowego występu znowu publiczność wita go śmiechem. nie puszczając sceny, zmusza do bisów. Kiedy świat stał się znowu piękny i kiedy swobodnie można marzyć o wspólnej drodze równych partnerów — znakomitej tancerki i znakomitego komika, przychodzi śmierć. Sterane serce Calvero odmawia posłuszeństwa.

Blisko dwie i pół godziny trwa film Chaplina. Kiedy się kończy, trudno oprzeć się uczuciu żalu, że zgasty już ekranowe „Światła rampy”. A potem zostają już tylko wrażenia i nie uporządkowane jeszcze myśli. Ile jest w historii Calvero gorzkości prawdziwego Chaplina, z którego dziś już świat się nie śmieje? A może to echa dawnych wspomnień z londyńskich czasów wczesnej młodości, bolesny ślad przedwczesnej śmierci ojca, taniego wesółka podmiejskich teatrzyków, smak owych dni głodu i poniewierki? Kto wie, gdyby Chaplin w roku 1914 nie spotkał się z kinem, może byłby dziś na londyńskim bruku jakimś ex-gwiazdorem rewii, jakimś starym Calvero? Autor pochylił się nad swoją przeszłością, wraca do klasycznych wzorów angielskiego music-hallu i pantominy, cofa się do źródeł swej sztuki aktorskiej. Bardzo daleki od Ameryki jest ten ostatni amerykański film Chaplina, daleki od wizji trampa, który zachwycał całe generacje kinowych widzów. „Światła rampy” to przywitanie z Europą człowieka, który przyczynił się do zbudowania gmachu amerykańskiej kinematografii, a dziś, u schyłku swego pracowitego życia, wraca na stary kontynent. Melancholijne to przywitanie, ale w swym smutku, a nawet tragizmie — jednak optymistyczne. „Światła rampy” to film o zwycięstwie dobrego, szlachetnego człowieka.

W tej sytuacji z pomocą biednej rodzinie przychodzi pomocnik, który przyjmuje Antonia jako pomocnika zakrystiana (4). Antonio dniem pracuje na plebanii, ale nocą jeździ do Neapolu i bierze udział w pracach przygotowawczych do strajku generalnego. Carmela nieopatrznie zdradza tę tajemnicę i Antonio zostaje wydany na pracę. Antonio ponownie jeździ do Neapolu. Znajduje pracę u właścicieli kilku peryferyjnych kin. Obsługuje zarówno kina jak i gospodarstwo domowe.

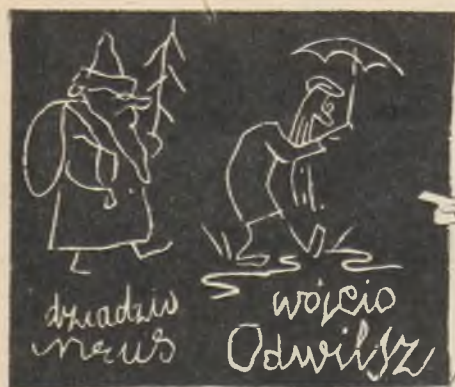
Carmela, pod pozorem leczenia, stale przyjeżdża odwiedzać ukochanego. Któregoś dnia między właścicielką kina, która żywi niedwuznaczne zamiary w stosunku do Antonia, a za-szadzoną Carmelą dochodzi do sprzeczki i Antonio ponownie traci zajęcie.

Po powrocie do Cuzano Antonio udaje się do ojca Carmeli, który mógłby zatrudnić go w swoim warsztacie. Ale Pasquale Artu nie chce o tym słyszeć: twierdzi, że Antonio jest niedo-lęgą i nie chce takiego współpracownika i zięcia.

Aby przełamać upór ojca, Carmela wraz z Antoniem pozo-ruje ucieczkę do Capri. Pasquale Artu nie ustępuje jednak i wrywa młodych po to tylko, by ich publicznie przepędzić. Wówczas doprowadzony do ostateczności Antonio przy aplau-dzie miłośników, zdejmując z Carmeli ubranie i rzuca pod drzwi skapemu ojcu. Z alicnych straganów bierze na kredyt dla Carmeli sukienkę i butki.

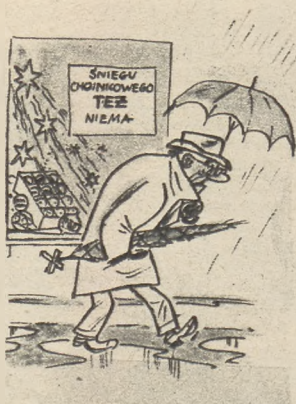
Młodzi wierzą w przyszłość — los ich musi się zmienić (5). Zawierają małżeństwo, by razem rozpocząć nowe życie.





Mały Kazio

Rysował. JERZY ZARUBA



Po wodzie



Mnie obniżka cen nie ułżyła!

UWAGA CZYTELNICY!

Następny numer tygodnika ilustrowanego „ŚWIAT” ukaże się z datą 3 stycznia 1954

BAJKA O ZEGARZE

Znam sędziwego życie zegara,
Starego przyka;
Choć maszynaria równie w nim stara,
On ciągle tyka.
Wstawiony między inne rupiecie,
Od stu lat przeszło
Tyka i nie wie, że już stulecie
Nowe nadeszło.
Już kilkadziesiąt dobrych lat temu,
Nieco nadpsuły,
Nie zauważył zupełnie, że mu
Giną minuty.
Potem kwadrans i godzin tyle
I całe lata
Gubił, nie wiedząc, że został w tyle
Za resztą świata.
Dziś, gdy do końca tysiąclecia
Zbliża się człowiek,
Zegar, na którym jest za pięć trzecia,
Spóźnia się o wiek.
Warto ostrożnie wynieść go z cienia
Na świat różowy
Tak, by nie dostał raptem z wrażenia
Zawrotu głowy...
Warto, sterane nerwy starego
Mając na względzie,
Łagodnie rzec mu: — Miły kolego,
Wiesz, byłeś w błędzie...
Inne jest dzisiaj, niż w dawne lata,
Życie na ziemi,
A jutro — wygląd dzisiejszy świata
Znowu się zmieni...
Może się stary nie będzie wcale
Opierać... Kto wie?

G. RODARI

DWIE BAJKI

Przełożył
J. MINKIEWICZ

Cdy mu się jasno i zrozumiale
Wszystko opowie.
Epoką naszą i prawdą o niej
Nagle olśniony,
Może naprawi się i dogoni
Czas utracony.
Może wskazówkę puści po tarczy
Z szybkością śmigła
Tak, że jej czasu niewiele starczy,
By nas dościgał,
By odtąd chodząc żwawiej i młodziej
W rytmie miarowym,
Stary się nie dał wyprzedzić w chodzie
Zegarkom nowym.

Żył malarz.
Jego losy
Krótkim oddam słowy:
Tak strasznie był on biedny,
Że nie miał farb. Ni jednej.
A do pedzelków włosy
Wyrwał sobie z głowy.

Raz pójść do właścicieli
Kolorów — się ośmielił.

Właściciel Niebieskiego
Zapytał go: — Czego?
— Daj Niebieskiego dziesiętko,
Niech namaluję niebko!

— Idź precz, bo nie dostaniesz
Nic z tego, co jest moje.
Jak żebrać nie przestaniesz,
To skórę ci wyłoję!

Właściciel zaś żółtego
Też się zapytał: — Czego?

— Daj mi żółtego krztyne,
Malować chcę cytrynę...

Właściciel mu żółtego
Rzekł: — Odczep się, nic z tego!

Właściciel Zielonego
Rzekł: — Odejdź, bo cię trzasnę,
Tyś chciał mnie okraść, wiem!

Ochodząc w swoją stronę,
Rzekł malarz: — A Czerwone?
Mam ja Czerwone własne! —
I palec przeciął szkiem.

I oto iza czerwieni
Na płótnie już się mieni...
Gotowy obraz już...

Czerwony jak wschód słońca,
Jak flaga łopocąca,
Jak milion, milion róż!

I westchnął malarz biedny.
Właściciel farby jednej
I poczuł się bogatszy
Niż milionerów stu.

U PRZYJACIOŁ

Północ. Gdzieś na wieży zegar wybija godzinę dwunastą. Rozpoczyna się rok 1825. Kto z obecnych dziś u Biestużewa może przeczuć, co nowy rok przyniesie?

Wszyscy wstają i wznoszą toast na pomyślność nowego roku. Dźwięczy szkło, wznoszą się w górę puchary, słychać wzajemnie składane sobie życzenia.

— Za zdrowie naszego polskiego przyjaciela, poety Adama Mickiewicza i jego towarzyszy — woła po polsku Rylejew.

LENGREN



— ...A wkrótce przekonamy się, ile taka zabawka przynieść może pożytku...

DOKOŃCZENIE ZE STR. 22

— Za zdrowie poety i zesańca — dołącza się Biestużew.

— Za pomyślność naszych wspólnych celów — woła Odojewski.

Bulharin podchodzi do otwartego okna. Mickiewicz wstaje, rozgląda się i dziękuje skinieniem głowy. Wszyscy zamilkli. Stoi przed nimi dorodny młody człowiek, długie, niemal czarne włosy skręcające się na skroniach spadają mu na czoło. Zaczyna mówić. Jego oczy ciemne, trochę przynębione, ale żarzące się jak dwa węgielki w twarzy dziwnie żółtej, powoli się rozpalają. Słowa padają jak lawina. A teraz mówi wierszem. Improwizuje. Jest to jedno z tych poetyckich uniesień, którymi później wprowadził w podziw przyjaciół rosyjskich w Moskwie. Nie można uchwycić szybko padających słów poety. Są jak wodospad, lawina niczym nie dająca się powstrzymać. Słowa tliwie i drogie, gwałtowne, pełne ognia i namietności, to znowu pieszczotliwe, tęskne i melancholijne. Słuchają go milczący i osłupiali. Biestużew nie może ukryć entuzjazmu, Rylejewowi błyszczą oczy, Gribojedow, ten ironiczny i rezonerski Gribojedow, ze wzruszenia przeciera okulary; i Bulharin zdaje się być przejęty.

I płynie nadal strumień wierszy poety. Dziękuje im, rosyjskim przyjaciołom, za to, że znalazł w nich serdecznych druhów, podobnie czujących jak on. Podaje więc im braterską dłoń i prosi, aby o nim nie zapomnieli. Pragnie im powiedzieć, że przyjaźń młodych, zapalonych ludzi, ich entuzjazm do czynu jest cenniejszym darem niebios niż miłość kobiety.

Entuzjastyczne oklaski nie pozwalają Adamowi dokończyć. I znowu toasty, gorące uściski. Strzelają korki, ktoś zaczyna grać na fortepianie. Adam podchodzi do okna, wychyla się w mroźną noc. Spod najbliższej latarni wysuwa się cień i niknie w ciemnościach.

Zaczyna się rok 1825.

BOHUSZ BALAJKA

Drodzy Czytelnicy!

Przez cały ubiegły rok korespondowaliśmy ze sobą w atmosferze życzliwości i wzajemnego zrozumienia. Przesyłałicie nam, Drodzy Czytelnicy, słowa szczerzego uznania i szczerze słowa krytyki. Wydaje nam się, że żadne Wasze spostrzeżenia nie uszły naszej uwagi i że wiele Waszych życzeń uwzględniliśmy w pracy przy redagowaniu pisma. Staraliśmy się również przekazywać Wasze słowa krytyki pod adresem różnych instytucji, które ze swej strony nadsyłały wyjaśnienia, usuwając wytknięte przez Was braki i niedociągnięcia. W ostatnim numerze tegorocznym chcemy Wam, razem z życzeniami „Wesołych Świąt”, złożyć podziękowanie za duże zainteresowanie, jakie okazaliście dla naszej pracy, i za dowody zaufania, któremu dawaliście wyraz w listach kierowanych do działu „Drodzy Czytelnicy”.

Od Nowego Roku popłyną niewątpliwie nowe listy, w których poruszać będziecie codzienne troski i radości oraz sprawy związane z pracą i nauką.

Jeśli mamy do Was jakąś prośbę, to właśnie tę, aby w tych listach wypowiedzi były jeszcze śmielsze, krytyka szersza, odważniejsza, ukazująca źródła wielu często poważnych wypaczeń w naszym życiu, którym rząd i partia wypowiadają zdecydowaną walkę w imię dobra obywateli, w imię troski o ludzi pracy zarówno w mieście, jak i na wsi. Pragniemy, aby nasz dział stał się niejako powiernikiem, obdarzonym przez Was, Drodzy Czytelnicy, całkowitym zaufaniem, co pozwoli Wam zwracać się do nas z niejedną wątpliwością, która może niekiedy kładzie się cieniem na Waszym życiu, na Waszych myślach i postępowaniu. Jeśli będzie trzeba, będziemy bronić Waszych słusznych spraw, interweniować w Waszym imieniu. Innym razem będziemy występowali tam, gdzie okaże się konieczność napiętnowania bezduszności i biurokratyzmu, gdzie naruszono praworządność socjalistyczną, gdzie wyrządzono krzywdę człowiekowi.

Jeśli w ten sposób rozwinie się nasza współpraca i dalsza nie przyjacielskiej korespondencji, unikniemy odświeżających komplementów, zdawkowych pochwał i nic nie mówiących ogólników. A przecież o to chodzi, Drodzy Czytelnicy! Ten dział ma Wam służyć radą, rozpraszać wątpliwości i pomagać w pracy.

Ten cel postawiła przed sobą redakcja i tylko właściwe zrozumienie naszych intencji przez Czytelników tego działu pozwoli nam jeszcze bardziej zacieśnić więzy sympatii, jakie nas łączą — w co ani my, ani Wy, Drodzy Czytelnicy, nie wątpicie — już od dawna.

ZLEKCEWAŻENIE MELDUNKU

W związku z opublikowanym przez nas we wrześniu raportem pt. „Pionierzy Nidzkiego Jeziora” — w którym wskazywaliśmy na karygodny fakt niedbalstwa ze strony urzędnika Nadleśnictwa Ruciane — Dyrektor Rejonu Lasów Państwowych w Mrągowie przesłał do naszej redakcji kopię pisma do Ministerstwa Leśnictwa.

W piśmie tym czytamy m. inn. „Ob. Kozłowski Stanisław, sekretarz Nadleśnictwa Ruciane (Rejon Lasów Państwowych w Mrągowie), za swój lekceważący stosunek do meldunku Kierownika obozu został ukarany w drodze administracyjnej. Obowiązany był jako pracownik p. g. l. sprawą pożaru zająć się natychmiast, mimo że pożar nie znajdował się na terenie Nadleśnictwa Ruciane i Państwowego Gospodarstwa Leśnego”.

KOESPONDENT MIAŁ RACJĘ

„W związku z notatką prasową z dn. 1. XI. 53 Okręgowy Zarząd Kin — Warszawa wyjaśnia: uwagi Waszego korespondenta są słuszne. Sprzedawanie abonamentów o nieoszczędnym formacie zostało spowodowane koniecznością zużycia posiadanych remanentów magazynowych.

Jednocześnie powiadamy, że zapas abonamentów o formacie 212x150 w rb. zostanie zupełnie wyczerpany w kinach warszawskich do końca roku 1953.

Niezależnie od sprzedaży wyżej omawianych abonamentów Okręgowy Zarząd Kin — Warszawa zastosował oszczędny format abonamentów o wymiarach 150x105, który jest w sprzedaży od dn. 25.XI.53”.

„ŚWIAT”

Wesołych Świąt

i

Szczęśliwego Nowego Roku

Życzy wszystkim Czytelnikom

Redakcja Tygodnika „Świat”

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Zakłady Wkleśłodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.
Zam. Nr 786. Papier rotogr. V/80-82 cm — 4-B-22106
podpisano do druku dnia 15.XII.53.

SZACHY

MECZ SZACHOWY „ŚWIAT” — CZYTELNICY

W partii W1 Czytelnicy zdecydowali odbić na g5 pionem (63,8% głosów).

W partii W200 głosy były rozbite między ruchy 45... Gd7—c6, 45... Ke7—e6 i 45... c3—c2. Zwyciężyli zwolennicy c3—c2.

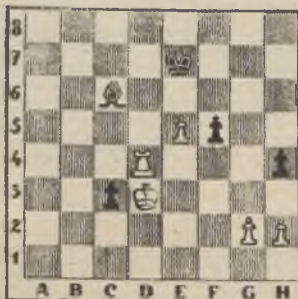
PARTIA W1



44. h2—h4 g7—g5
45. h4:g5+ h6:g5
46. Gf1—c4

Przypominamy, że odpowiedź na 45 posunięcie Redakcji

PARTIA W200



44. Ke2—d3 d5—d4
45. Wb6—b4 Gd7—c6
46. Wb4:d4

należy wystać najpóźniej we wtorek 22 grudnia br.

PARTIA Nr 89

grana w XXVII rundzie „Turnieju Kandydatów” w Zurichu.

Obrona Królewsko-indyjska
Białe: KOTOW
Czarne: NAJDORF

1. c2—c4 Sg8—f6 2. Sb1—c3 g7—g6 3. d2—d4 Gf8—g7 4. e2—e4 d7—d6.

Powstała więc z przedstawieniem posunięć najostrożniejszą kontynuację w tym debiucie, zwaną atakiem Sämische.

Ostatnie posunięcie białych przygotowuje szturm pionów na pozycję nieprzyjacielskiego króla.

5... 0—0 6. Gc1—e3 e7—e5 7. d4—d5 c7—c5.

Ten system blokady centralnych pionów został użyty dwie rundy wcześniej w spotkaniu Kotow — Gilgoric. Zazwyczaj w tym położeniu grane jest 7... c6, lub 7... Se8.

8. g2—g4

W wymienionej partii Kotow grał 8. Gd3 i nie osiągnął przewagi, tym razem więc rozpoczyna natychmiastowy szturm pionami.

8... Sf6—e8 9. h2—h4 f7—f5 10. e4:f5 g6:f5 11. g4—g5 e5—e4 12. f3—f4 b7—b5.

Czarne rozpoczynają energiczną akcję na skrzydle hetmańskim, nie cofając się przed ofiarą piona.

13. c4:b5 a7—a6 14. Hd1—d2 a6:b5 15. Gf1:b5 Gc8—a6 16. Gb5:a6 Sb8:a6 17. Sg1—e2.

Białe rezygnują z rozstawienia w długą stronę i przygotowują krótką rozładę.

17... Sa6—b4 18. 0—0 Se8—c7 19. Se2—c1 Hd8—e8 20. a2—a3 He8—h5 21. Wf1—f2 Hh5—f7.

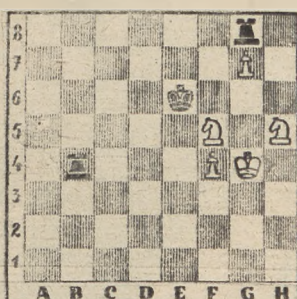
Ryzykowne było 21... H:h4 22. Wf2.

22. a3:b4! Białe oddają jakość, ale zyskują w zamian jeszcze jednego piona.

22... Wa8:a1 23. b4:c5 d6:c5 24. Ge3:c5 Wf8—d8 25. d5—d6 Sc7—e8 26. Kg1—g2 Gg7—f8 27. Sc1—e2 Se8:d6 28. Hd2—d5 Sd6—b7 29. Hd5:f7+ Kg8:f7 30. Gc5:f8 Wd8:f8 31. Se2—g3 Sb7—d6 32. Wf2—d2 Kf7—e6 33. Wd2—d5 Wg8—b8 34. Wd5:d6+!

Druga niespodziewana ofiara jakości. Jak się okaże, dwie wieże nie uzyskują wygranej w walce z dwoma skoczkami i dwoma pionami.

34... Ke6:d6 35. Sg3:f5+ Kd6—c6 36. Sc3:e4 Wb8:b2+ 37. Kg2—f3 Wb2—b4 38. Sf5—g3 Wa1—a4 39. h4—h5 Wa4—a3+ 40. Kf3—g4 Kc6—d7 41. g5—g6 h7:g6 42. h5:g6 Kd7—e7 43. Sg3—f5+ Ke7—e6 44. Sf5—g7+ Ke6—e7 45. Sg7—f5+ Ke7—e6 46. g6—g7 Wa3—a8 47. Se4—g3 Wa8—g8 48. Sg3—h5.



Pozycja po 48. Sg3—h5

48... Wb4:f4+ Najdorf widząc, że partii już wygrać nie może, pozwala sobie na dowcip i oddaje obie wieże za piony.

49. Kg4:f4 Wg8:g7 50. Sh5:g7+. Remis.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

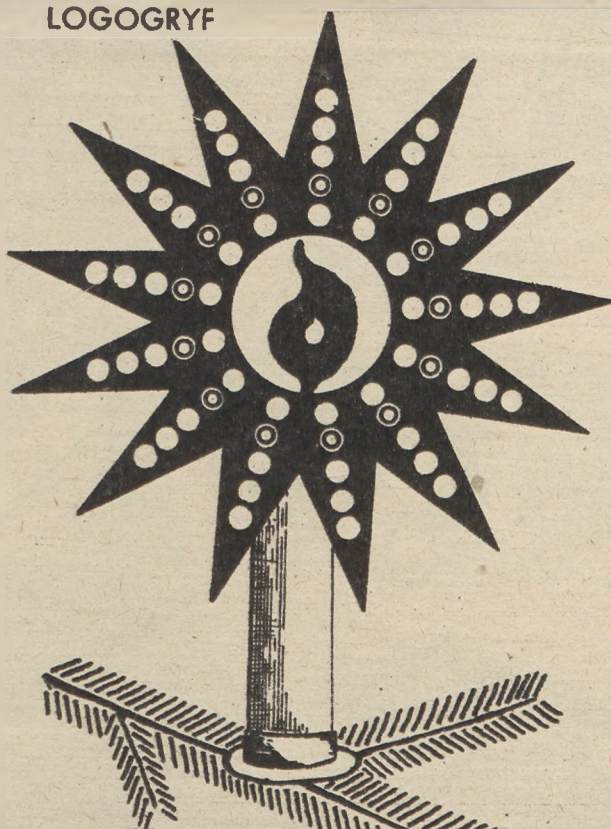
LOGOGRYF

Do podanej figury wpisać dośrodkowo 13 wyrazów pięcioliterowych o poniższych znaczeniach i takiej samej literze początkowej. Czwarte litery tych wyrazów czytane kolejno dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) Zapal, polot, 2) Kompozytor opery „Oberon”, 3) Mieszkańcy jednego z państw europejskich, 4) Wartość, znaczenie, 5) Narzędzie gospodarskie, 6) Wysoki urzędnik w Turcji, 7) Pseudonim popularnego felietonisty warszawskiego, 8) Posterunek, pikiet, 9) Wiadomość, 10) Jama, wyłom, 11) Rezultat, 12) Wóz z plecionym koszem, 13) Autor powieści „Bitwa Stalingradzka”.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych



NOWY ROK — Z NOWYM PISMEM

którego tytuł brzmi:

„DOKOŁA ŚWIATA”

Ten tytuł wybrał sąd konkursowy spośród 100.000 propozycji, nadesłanych w wielkim konkursie na nazwę nowego, ilustrowanego magazynu dla młodzieży. Nagrody (wśród nich — jak wiadomo — motocykl i radioodbiornik) zostaną rozlosowane pomiędzy tych uczestników konkursu, którzy zaproponowali tytuły: „Dookoła Świata” i „Naokoło Świata”.

LISTY NAGRODZONYCH I WYKAZU NAGRÓD SZUKAJCIE W PRASIE CODZIENNEJ.

Redakcja Magazynu Ilustrowanego „Dookoła Świata” mieści się obecnie w Warszawie, Al. I Armii WP 11.

KARNAWAŁ 1954

Gdzie powitamy Nowy Rok? Z kim?... I w czym?

Gdzie? — oczywiście na balu w instytucji, w której pracujemy (może nawet na Balu Przedowników?)

Z kim? — oczywiście z „Nim”.

W czym? — w sukni (koniecznie długiej), uszytej wg któregoś z załączonych modeli.

Pierwszy u góry — czeski model sukni wieczorowej z białej bawełnianej koronki nowoczesnej. Dół kłosowy, góra dopasowana, króciutki rękawek i oryginalny, stojący koinierzyk.

Obok — model radziecki. Suknia bez ramiół z ciężkiego jedwabiu czerwonego w czarne (albo złote) poprzeczne pasy. Całość uzupełnia bolerko z czarnego akşamitu albo lśniącego jedwabiu.

U dołu dwa polskie modele, które odniosły duży sukces na międzynarodowym pokazie w Lipsku. Jeden — to suknia z białego batystu haftowanego (z którego również sporządzony jest szal). Drugi — suknia z naturalnego jedwabiu milanowskiego. Ramiola odkryta, małe bufłaste rękawki, dół bardzo kłosowy — jak we wszystkich sukniach wieczorowych, modnych w nadchodzącym karnawale.





KONKURS „PODARUNKI ŚWIĄTECZNE“

— Ratujcie mnie, Drodzy Czytelnicy „SWIATA“! Oto wszystkie podarunki świąteczne wyspały się z worka, a tak pięknie były poukładane, że wiedziałem dokładnie, co do kogo należy zanieść. A teraz?!

A teraz przystąpimy do rozwiązania konkursu pn. „PODARUNKI ŚWIĄTECZNE“, który polega na tym, ażeby właściwe postacie, narysowane przez Charliego, skojarzyć z odpowiednim podarunkiem, często symbolicznym i satyrycznym. Zadanie więc proste: na kuponie, który można zresztą zrobić sobie na osobnej kartce, obok cyfr oznaczających osoby — dopisujemy tylko odpowiednią literę, oznaczającą podarunek.

Po nadesłaniu do redakcji dobrego rozwiązania w terminie do 1 lutego 1954 r. Czytelnicy „SWIATA“ mają możliwość wygrać w losowaniu:

1) APARAT RADIOWY marki „Pionier“

KUPON KONKURSOWY

Nazwisko i imię _____ zawód _____

Adres _____

ROZWIĄZANIE:

1 _____	6 _____	11 _____	16 _____
2 _____	7 _____	12 _____	17 _____